

ŻYCIE

UNIWERSYTECKIE

nr 3 (319) marzec 2020



ZACZĘŁO SIĘ OD JEDNEJ KOLBY

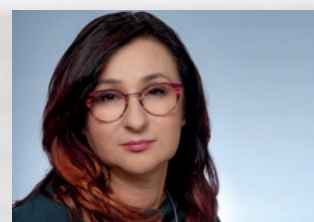
PROF. BOGUMIŁ BRYCKI
Z PRACOWNI CHEMII MIKROBIOCYTÓW
NA WYDZIALE CHEMII UAM

s. 8



PROF. KATARZYNA
DZIUBALSKA-KOŁACZYK
OD MISJI PO PASJĘ

s. 6



PROF. BEATA MIKOŁAJCZYK
**JAK BADACZKI
UAM ZDOBYWAJĄ
GRANTY
NA BADANIA
NAUKOWE?**

s. 11



PROF. PIOTR KORDUBA
**ŻYCIE JEST PIĘKNE.
PO POZNAŃSKU**

s. 14

uniwersyteckie.pl

z pasją o Nauce 



FOT. 3X ADRIAN WYKROTA

POŻEGNANIE REKTORA

We wtorek, 28 stycznia, rodzina i społeczność akademicka oraz licznie zgromadzeni w Auli UAM, pożegnali prof. Stanisława Lorenca, rektora UAM w latach 2002-2008.

Uroczyste posiedzenie Senatu Żałobnego prowadziła prorektor UAM, prof. Bogumiła Kaniewska. Na początku odczytała list rektora, prof. Andrzeja Lesickiego, któremu choroba uniemożliwiła udział w uroczystości. „Profesor Stanisław Lorenc był jednym z największych rektorów naszego uniwersytetu – napisał prof. Andrzej Lesicki. - Wiele się od niego nauczyłem, jak dbać o sprawę pracowniczą, jak stworzyć z prodziekanami i dziekanami zespół, któremu przyświeca jeden cel: dobro uniwersytetu i jego pracowników”.

Swoją listę zakończył zdaniem: „Byłeś nie tylko wielkim rektorem, wybitnym uczonym, ale też, a może przede wszystkim dobrym, ciepłym człowiekiem”.

– Człowiekiem, który swoją funkcję sprawował z pogodnym uśmiechem, elegancją skromnością. Jakby lekko zażenowany swoją pozycją – dodała prof. Bogumiła Kaniewska. – Tego uśmiechu będzie nam już zawsze brakować – mówiła.

Dorobek naukowy Zmarłego przypomniał dziekan Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych, prof. Leszek Kasprzak. Wspomnił też o naukowej pasji prof. Lorenca, jaką były Sudety. – Czuł środowisko przyrodnicze i dlatego tak dobrze wykładał – mówił.

– Byłeś mistrzem i przyjacielem – żegnali Zmarłego w imieniu uczniów w osobistych wspomnieniach prof. Witold Szczuciński i dr Robert Jagodziński z Pracowni Geoagrożeń Instytutu Geologii. Przypomnieli m.in. jedną z dewiz prof. Lorenca, która brzmiała „Każdej sprawie można poświęcić tyle czasu, ile się go ma”.



W imieniu rektorów poprzedniej kadencji, Zmarłego pożegnał prof. Stefan Jurga. – Prof. Lorenc w swoich działaniach ukazywał rolę uniwersytetu, w którym poziom i rozwój jest kształtowany przez wybitne indywidualności wywodzące się z grona profesorów, pracowników nauki i studentów – mówił prof. Jurga. Zdaniem prof. Stefana Jurgi zmarły należał do tych uczonych, do tych rektorów, którzy kształtowali współczesną jakość polskich uniwersytetów, uczelni nowoczesnych, otwartych na każdego człowieka.

„W świadomości pilan Profesor pozostanie jako budowniczy Nadnoteckiego Instytutu UAM w Pile i zwolennik jego rozwoju – napisał prezydent Piły, Piotr Głowski. I podkreślił: „Na zawsze w naszej pamięci pozostaną wspólnie realizowane projekty, które staną się pomnikiem Jego działań”.

Kondolencje złożył listownie również burmistrz Słubic, Mariusz Olejniczak, który przypomniał zaangażowanie Zmarłego w powstanie Collegium Polonicum: „Dla uniwersytetu było to częścią planu rozbudowy instytucji, ale dla naszego miasta, a nawet całego regionu, stało się wręcz milowym krokiem w rozwoju”.

Prof. Stanisława Lorenca wspominała także społeczność Uniwersytetu Europejskiego Viadrina. Listy kondolencyjne wystosowali: prezydentka Viadriny prof. dr Julia von Blumenthal oraz prof. dr Gesine Schwan i dr Gunter Pleuger, pełniący ten urząd wcześniej. Wśród bardzo wielu kondolencji znalazły się również listy z uniwersytetów w Kilonii i Freiburgu, uczelni z całego kraju oraz Polskiej Akademii Nauk.

Prof. Stanisław Lorenc spoczął na cmentarzu przy ul. Jasna Rola na poznańskich Naramowicach.

Agnieszka Książkiewicz



ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

2 | Wydarzenia

2 | Pożegnanie Rektora

4 | Ateński instytut ma radę

Medale 100-lecia dla zasłużonych

Gwiazda umiędzynarodowienia

Europa w Słubicach

5 | Protonowa dioda LED, czyli światło z wody

Stypendyści Fulbrighta z UAM

NAUKA

6 | Od misji po pasję

Rozmowa z prorektorką UAM prof. Katarzyną Dziubalską-Kołączyk

8 | Zaczęło się od jednej kolby

Możliwości gemini surfaktantów, uniwersalnych związków chemicznych, są prawie nieograniczone.

10 | Eko to nie zawsze ekologia

W czasach globalnego ocieplenia chcemy jak najmniej szkodzić planecie. Używamy bawełnianych toreb zamiast reklamówek. Ale czy na pewno nasze wybory służą środowisku?

11 | Jak badaczki UAM zdobywają granty na badania naukowe?

W takich uniwersytetach jak UAM finansowanie badań naukowych opiera się nadal głównie na środkach budżetowych (subwencja MNiSW), jednak pozyskiwanie środków zewnętrznych na prowadzenie badań stało się już naszą codziennością.

14 | Życie jest piękne. Po poznańsku

Profesor Piotr Korduba, wielokrotny znalazca rzeczy niezwykłych, jest głównym sprawcą „zamieszania”, ale i naukowcem, który przywraca Poznaniowi niezwykłą pamięć o mieście i jego ludziach.

16 | Operowe szaleństwo

Paulina Książek, laureatka Diamentowego Grantu tworzy nowatorską metodologię badania szaleństwa i złożonych postaci kobiecych w operach

17 | Co wiedzą o nas komórki?

Rozmowa z dr. inż. Marcinem Gogolewskim z Wydziału Matematyki i Informatyki

18 | Miganie po uniwersytecku

Rozmowa z dr. Karoliną Rutą-Korytowską, która od lat zajmuje się studentami niesłyszącymi.

20 | Młodzież jako podmiot, ale i przedmiot badań

W naukach społecznych uznaje się konieczność pogłębionych studiów i badań nad młodzieżą jako głównego aktora perspektywnych zmian.

21 | Wyznani z domu

Rozmowa z prof. Małgorzatą Praczyk z Wydziału Historii UAM

22 | Zakochać się w robocie

Sztuczna inteligencja – zarówno roboty humanoidalne, jak i aplikacje na telefony – w najbliższych latach będą coraz częściej przedmiotem westchnień ze strony ludzi – uważa dr Maciej Musiał z Wydziału Filozoficznego UAM.

KULTURA

23 | Gnieźnieńskie „Eco Future”

LUDZIE UAM

24 | Od podziemnego redaktora do senatora

Rozmowa z Marcinem Bosackim, senatorem Koalicji Obywatelskiej

26 | Odważna i romantyczna

Rozmowa z Emilię Kiereś

27 | Z Poznania do Tokio

Rozmowa z Karoliną Nadolską ze Studium Wychowania Fizycznego i Sportu UAM



FOT. PRZEMISŁAW STANULA

Ateński instytut ma radę

Członkowie Rady Naukowej Polskiego Instytutu Archeologicznego w Atenach odebrali w gabinecie rektora UAM akty powołania. Nominacje wręczali prorektorzy UAM: prof. Bogumiła Kaniewska i prof. Tadeusz Wallas.

PIAA jest jednostką (centrum uniwersyteckim) UAM, a jego zadaniem jest reprezentowanie przed władzami greckimi wszystkich naukowców polskich, którzy zamierzają prowadzić swoje badania w tym kraju. Rada jest głównym organem naukowym Instytutu oraz tworzy jego komitet wydawniczy. W jej skład wchodzi badacze strefy egejskiej z kraju i zagranicy, zarówno archeolodzy klasycyści i pradziejowcy, jak również historycy starożytności i filolodzy klasycyści.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Medale 100-lecia dla zasłużonych

Międzyuczelniany Komitet Obchodów 100-lecia Uniwersytetu Poznańskiego postanowił wyróżnić tych, którzy w istotny sposób przyczynili się do rozwoju tworzących go czterech uczelni.

Uroczystość wręczenia pamiątkowych Medali 100-lecia, będących wyrazem pamięci i szacunku dla wkładu w rozwój czterech uczelni, odbyła się w Auli Lubrańskiego.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Gwiazda umiędzynarodowienia

Marcin Witkowski z Centrum Wsparcia Współpracy Międzynarodowej UAM został „Gwiazdą umiędzynarodowienia 2020”. Nagroda przyznawana jest przez kapitułę, w której reprezentowane są główne polskie instytucje i organizacje zaangażowane w rozwój umiędzynarodowienia: MNiSW, KRASP NAWA, FRSE, Perspektywy, IROs Forum i Parlament Studentów RP.

Marcin Witkowski pracuje w Centrum Wsparcia Współpracy Międzynarodowej UAM, gdzie koordynuje projekty międzynarodowe. Zorganizował w Poznaniu (2019 r.) pierwszą w Polsce EUPRIO Annual Conference, czyli konferencję europejskiego stowarzyszenia European Association of Communication Professionals in Higher Education, którego jest sekretarzem i jedynym polskim członkiem komitetu sterującego.



FOT. K. DUDA

Europa w Słubicach

W Collegium Polonicum w Słubicach miała miejsce Międzynarodowa konferencja naukowa „Europa XXI wieku”. Jej tematem była „Przyszłość Europy i Unii Europejskiej w obliczu starych i nowych wyzwań”. W konferencji wzięło udział około 300 uczestników m.in. z Polski, Niemiec, Hiszpanii, Cypru, Czech, Słowacji, Turcji, Rosji, Kazachstanu, Ukrainy, Białorusi i Szwecji.

Konferencja była platformą prezentacji wyników badań naukowych na temat współczesnych problemów starego kontynentu, w tym przede wszystkim istniejących i spodziewanych zjawisk i procesów determinujących dalszy jego rozwój.

Organizatorami spotkania były Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM i Ośrodek Badań i Edukacji Europejskiej oraz Collegium Polonicum w Słubicach.

PROTONOWA DIODA LED, CZYLI ŚWIATŁO Z WODY

Dioda LED – powszechne źródło światła, które możemy znaleźć zarówno w małych kontrolkach znajdujących się w zasilaczach czy pilotach sterujących domowymi sprzętami, jak i w ulicznej sygnalizacji. Zespół badaczy z UAM pod kierunkiem prof. Jerzego Langer stworzył pierwszą na świecie protonową diodę LED. Rolę półprzewodnika w tym wynalazku pełni... woda.



FOT. ADRIAN WYKOTA

jednak ciecz znana nam z kranów, tylko woda domieszkowana: z kwasem – H^+ oraz z zasadą – OH^- . W tym układzie woda zmieszana z kwasem staje się analogiem złącza p, natomiast domieszka zasadowa – analogiem złącza n.

W dużym uproszczeniu wygląda to następująco: dioda działa na zasadzie rekombinacji nośników ładunku. Rolę elektronów w tym układzie pełnią protony H^+ , a „dziur” grupy hydroksylowe $-OH$. Materiałem aktywnym, w którym zachodzi proces rekombinacji nośników ładunku (H^+ i $-OH$) oraz emisja światła, jest woda. Mechaniczną stabilność układu zapewniają polimery, które jednocześnie są nośnikami grup funkcyjnych (kwasowych i zasadowych), co pozwala na utworzenie protonowego złącza p–n na granicy strefy kwasowej i zasadowej. Przyłożenie napięcia w kierunku przewodzenia złącza („plus” od strony kwasowej) powoduje przepływ prądu protonowego i emisję światła z obszaru złącza p–n. Nośniki ładunku H^+ i $-OH$ generowane są z cząsteczek wody w reakcji elektrolitycznej na elektrodach metalowych (Pt), poza obszarem złącza p–n.

Po raz pierwszy działanie protonowej diody LED prof. Jerzy Langer opisał w 1984 roku, jednak dopiero trzydzieści sześć lat później udało się potwierdzić tę tezę w jednym z laboratoriów Centrum Zaawansowanych Technologii UAM. To najlepszy dowód na to, że odpowiednia doza cierpliwości, połączona z ciężką pracą, może sprawić, że nawet woda zacznie... świecić.

Przemysław Stanuła

– Możliwość konstrukcji protonowej diody LED wynika z naszych wcześniejszych badań nad przewodnictwem elektrycznym układów protonowych, w tym z protonowym złączem p–n – mówi prof. Jerzy Langer. Według założeń projektu, protonowa dioda LED jest w pełni analogową wersją normalnej diody. Zamiast półprzewodników (najczęściej stosowany w diodach jest arsenek galu), a raczej w ich miejsce, występuje woda. Nie jest to

STYPENDYŚCI FULBRIGHTA Z UAM

Program Fulbrighta przedstawił listę 48 polskich studentów, doktorantów i naukowców, którzy w roku akademickim 2020-2021 wyjadą do USA na stypendium Fulbrighta.

Program Fulbrighta to największy program wymiany naukowej i kulturowej Stanów Zjednoczonych. Od ponad 70 lat wspiera współpracę na rzecz rozwoju nauki, kultury oraz relacji międzyludzkich i międzyinstytucjonalnych pomiędzy USA a ponad 160 krajami. Stypendium Fulbright

Senior Award umożliwia realizację projektu, trwającego od 3 do 9 miesięcy, w USA. Otrzymali to stypendium: **dr Paweł Korpal**, Wydział Anglistyki; **dr hab. Aleksandra Lis**, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej; **dr hab. Anna Estera Mrozwicz**, Instytut Filmu, Mediów i Sztuk Audiowizualnych.

Z kolei Fulbright Junior Research Award to trwające od 6 do 9 miesięcy stypendium badawcze dla doktorantów z polskich uczelni. W tym roku otrzymała je **Karolina Wilczyńska** z Wydziału Historii.

Red.



FOT. ADRIAN WYKROTA

OD MISJI PO PASJĘ

O misji uniwersytetu, fonologicznej
pasji i próbach pogodzenia żywiołów
z prorektorką UAM

prof. Katarzyną Dziubalską-Kołączyk
rozmawia Krzysztof Smura

Mówią, że pani misyjność jest wręcz legendarna i bynajmniej nie jest to sformułowanie pejoratywne. Przysłużyła się wiara w trzecią misję?

Odbieram to jako komplement. Jest prawdą, że gorąco wierzę w trzecią misję uniwersytetu. Wierzę w wagę strategii. Miałam przyjemność być w komisji strategicznej powołanej przez rektora UAM prof. Bronisława Marciniaka. Wtedy pierwszy raz robiliśmy SWOT uniwersytetu. Analizę jego mocnych i słabych stron. Analizę zagrożeń. Tworzyliśmy misję uniwersytetu i wyznaczaliśmy strategię działania. Jako dziekanie Wydziału Anglistyki bardzo mi to pomogło. Uporządkowało nasze działania i wyznaczyło strategiczne cele WA. Niektórzy podchodzili do tego sceptycznie. Mówiono, że to przerost biurokracji. Prawda okazała się inna. I, co ważne, w tym wszystkim mieściła się owa trzecia misja. A więc nie tylko uniwersytet zajmujący się priorytetowo kształceniem i badaniami naukowymi, ale też

uniwersytet jako część społeczeństwa, pełniący bardzo ważną rolę i mający obowiązek informowania o tym, co robi. Uczelnia otwarta na społeczeństwo. Transparentna, bo przecież działająca w oparciu o podatki naszych obywateli.

Wspomniała pani o strategii uniwersytetu. Ta, nad którą wtedy pracowaliście, skończyła się. Co ze strategią UAM na kolejne lata?

Nie jestem w zespole strategicznym, więc nie mam uprawnień, by wypowiadać się na temat obecnie powstającej strategii, ale oczywiście interesuję się tematem. Jestem jednak przekonana, że gdy mamy nowy kontekst tj. statusy uniwersytetu badawczego i uniwersytetu europejskiego, to one zdefiniują przyszłą strategię UAM. Wystarczy wziąć pod uwagę choćby strategię uniwersytetu badawczego. Mamy tam jasno określone cele i trudno byłoby ich nie uwzględnić w nowej strategii naszej uczelni. Natomiast w ramach własnych działań poprosiłam, by w Szkole Nauk o Języku i Literaturze poszczególne wydziały zrewidowały swoje strategie. Powołałam też zespół Szkoły do spraw strategii, który niebawem spotka się i podsumuje trzy dokumenty z trzech wydziałów. Jak będziemy mieć ten, który dotyczy całego UAM, to będziemy mieć też jasność, w którym kierunku podążać.

Jest pani prorektorką. Skupia w swej władzy WA, Neofilologię i WFPiK. Jak pogodzić te żywioły, walcząc jednocześnie o jak najlepszą ocenę każdego z nich? W jedności siła?

Powstanie szkoły to atut. Jesteśmy silniejsi razem, ale musi być zarówno zachowana autonomia wydziałów, jak i pogodzone interesy wszystkich stron. Przecież po to tworzyliśmy tę szkołę i szkoły w ogóle, aby nie rozbijać wydziałów. W przypadku Szkoły, która mi podlega, każdy z trzech wydziałów firmuje te same dwie dyscypliny – językoznawstwo i literaturoznawstwo. Poprzez wydziały musimy wspólnie dążyć do zachowania jakości nauki i kształcenia. W interesie każdego jest, by pozostałe wydziały też dobrze wypadły. Jesteśmy „skazani na współpracę”. Powołałam zespół ds. monitorowania publikacji, w którym znajdują się po dwie osoby z każdego z wydziałów. Ten zespół na bieżąco sprawdza wynik publikacyjny wydziałów, a dziekani rozmawiają z osobami, które nie rokują, jeśli chodzi o powstanie nowych publikacji, starając się dociec przyczyn takiej sytuacji i wspomóc. Innym działaniem dobrym dla integracji było choćby wspólne otwarcie nowej szkoły poprzez wspólną inaugurację roku akademickiego. Wprowadziłam też pewne „orzeźwiający” punkty w porządku obrad Rady Dyscyplin. Każda Rada rozpoczyna się 15-minutowym wykładem naukowym, by nadać odpowiedni ton późniejszym obradom dotyczącym działalności badawczej Szkoły. Przyjemnie jest posłuchać, czym zajmują się naukowo koleżanki i koledzy. Tłumy przychodzą na organizowane przez nas szkolenia, np. dotyczące projektów. To dobry prognostyk. Jednoczący.

Pani zainteresowania badawcze to między innymi: fonetyka i fonologia, fonologia naturalna, fonotaktyka i morf fonotaktyka, akwizycja pierwszego i drugiego języka, fonologia bitów i wiązań... Uff. Które są najważniejsze i poświęca im pani najwięcej czasu?

Od czasów studiów moją pierwszą miłością była fonologia, czyli nauka o systemach dźwięków, która ściśle związana jest z fonetyką, czyli nauką o dźwiękach. Fonetyka jest dziedziną na pograniczu nauk ścisłych, humanistycznych, ale i medycznych. Interesujące mnie pytanie przewodnie brzmi: jak z fonetyki korzysta nasz mózg.

Można powiedzieć, że wszyscy mówcy na świecie korzystają z tych samych narzędzi mowy – język, usta, krtani, nos, struny głosowe, uszy, płuca... Aparat jest ten sam, a języków jest ponad 7 tysięcy i każdy z tej fonetyki korzysta inaczej. To musi być w naszym mózgu zapisane. Neurony muszą zapamiętywać i wypracowywać pewien system nazywający się językiem polskim, angielskim czy suahili. To jest fonologia. System.

Językoznawstwo jest fascynujące na każdym poziomie, ale ta fascynacja zaczyna się już poczynając od samego dźwięku. Mówimy. Dźwięk trafia do ucha rozmówcy jak i naszego. Jesteśmy mówcami i słuchaczami jednocześnie. Dodatkowo, mózg jest na tyle bystry, że po drodze analizuje i przekazuje znaczenie. To funkcja główna fonologii. To, że ja wypowiadam zdanie, a pan je rozumie, składa się po drodze na całą masę procesów. Dźwięki docierają do ucha, które przerabia falę akustyczną na impulsy, a te jakimś „cudownym sposobem” kończą się zrozumieniem treści. To oznacza, że za fonologią idą wszystkie inne dziedziny językoznawstwa, czyli morfologia (składanie słów), składnia (słowa składane w zdania), semantyka (nadawanie znaczenia zdaniu), pragmatyka (zmiana znaczenia wypowiedzianych zdań, manipulacja). Na końcu sekwencji znajduje się tzw. leksykon. W naszej głowie znajduje się leksykon mentalny, czyli lista słów. On tam jest. Możemy do niego sięgać. Robimy to błyskawicznie, a nawet z wyprzedzeniem. Wiemy, co powiemy za chwilę. Moją dziedziną jest wprawdzie fonologia, ale nie możemy zapominać o pozostałych poziomach. To holistyka. Jedność.

Pani rozprawa habilitacyjna zapoczątkowała nowy, autorski model organizacji fonologicznej języka: teorię fonologii bitów i wiązań. Według praktyków teoria ta jest oryginalnym poznańskim wkładem w dorobek językoznawstwa naturalnego. Nadal inspirowała nowych badaczy. Na czym polega?

*Nie chcę, by mówiono o mnie jako
o feministce, osobie walczącej o kobiety:
chcę – i o to walczę – żeby ludzie
byli równo traktowani*

Badacze mogą się ze mną nie zgadzać co do relacji między fonetyką a fonologią. Niektórzy wierzą tylko w fonologię i ignorują opis fizyczny, lub odwrotnie. Teoria bitów i wiązań jest moim autorskim pomysłem. Moje podejście zasadza się na tym, że sylaba nie jest jednostką podstawową języka. Jest epifenomenem, czyli wynika z innych, wyższych reguł i zasad.

Jesteśmy częścią natury i nie można patrzeć na fragment, tylko na cały kontekst. Można porównywać zachowania językowe do innych zachowań. Zasady, stosujące się do natury, stosują się też do języka. To rozumowanie doprowadza mnie do zanegowania sylaby jako podstawowej jednostki. Bo jak mamy sylabę, to gdzie ona się kończy, a gdzie się zaczyna? Przykład: słowo „rtęć”. Ma dwie sylaby czy jedną? Inne, z chorwackiego, „Krak”. Tam nie ma w ogóle samogłoski, wobec czego rodzi się pytanie, czy jest to sylaba czy nie, skoro nie ma samogłoski? Proszę zauważyć, że aby powstała jakakolwiek sekwencja dźwięków, która będzie miała znaczenie, to zaczynamy od otwierania i zamykania ust.

Weźmy słowo „ba”. Zamknięte „b”, otwarte „a”. Ta sekwencja jest z punktu widzenia fonetyki najbardziej optymalna, ponieważ jest nam łatwiej wypowiedzieć coś, co będzie miało maksymalną różnicę między otwarciem a zamknięciem. Kontrasty są dobre też do słuchania. Im bardziej różni się spółgłoska od samogłoski tym lepiej. Co możemy dalej? Możemy reduplikować – ba ba ba. Możemy zróżnicować np. ba da ga. Dzieci tak zaczynają. Samogłoskę też mogą zmienić np. ba di gu itd. Z tej sekwencji może powstać język. I rzeczywiście 13,5 procent języków świata ma taką strukturę. Nie ma zbitek spółgłoskowych. Dwie spółgłoski się ze sobą nie spotykają. Językoznawcy powiedzieliby, że to sekwencja sylab, a ja pytam – po co nazywać to sylabą? Cała struktura języka nie zaczyna się od tego, co nazywa się sylabą, tylko zaczyna się od związku spółgłoski z samogłoską.

Czy należy ratować języki świata? Jest jakiś konkretny cel, poza ich ochroną od zapomnienia?

Argumentację trzeba zacząć od tego, że każdy człowiek mówi w jakimś języku. To nieodzowna umiejętność do komunikacji i wyrażania siebie. Język to tożsamość. Uczę się innego języka. Poznaje go. Znam go bardzo dobrze, ale o takich sprawach, jak uczucia myślę i mówię w języku rodzimym. Inny przykład: znam słownictwo z dzieciństwa, z piaskownicy. W innym języku nie znam. Podobnie z higieną czy seksem. Tu też najczęściej posługujemy się pierwszym językiem. Tożsamość jest głównym powodem ratowania języków. Ratujemy tożsamość ludzi, bo oni się z językami identyfikują. Najwięcej języków ginie w lasach równinowych. Ludzie muszą stamtąd uciekać, bo wycinane są lub wypalane lasy. Razem z ludźmi ginie wiedza o tym, co tam było, jak oni żyli i komunikowali się. Tracimy pamięć, bo w języku kryła się ich wiedza np. na temat gatunków roślin i zwierząt lasu równinowego. Kolejnym argumentem, dla którego warto ratować języki, jest ich różnorodność. Wartość kryjąca się w samej różnorodności. Im bardziej ludzie są różnorodni, tym większy jest ich potencjał twórczy.

Zaczęliśmy rozmowę od trzeciej misji uniwersytetu, ale przecież ma pani również swoje osobiste misje. Centrum Bilingualism Matters, feminatywy...

Zdecydowanie. Ubolewam nad brakiem finansowania Centrum np. przez miasto czy inne instytucje publiczne. Moglibyśmy zrobić znacznie więcej. Pomagamy ludziom. Coraz więcej obywateli trafia do Poznania. Przykładowo rodzice dwóch narodowości mają dziecko, które idzie do polskiej szkoły. Prowadzimy badania, mamy specjalistów, literaturę i wiedzę, jak pomóc zarówno im, dziecku, jak i nauczycielom. To, że powstało Bilingualism Matters@Poznań to duży prestiż, ale też i część trzeciej misji naszej uczelni.

Jeśli chodzi o feminatywy, to należę do osób, które o nie zabiegają. Nie chcę jednak, by mówiono o mnie jako o feministce, osobie walczącej o kobiety: chcę – i o to walczę – żeby ludzie byli równo traktowani. Jestem wrażliwa i zwracam uwagę, gdy ktoś do mnie pisze np. „panie dziekanie”. Problem jest jednak znów szerszy: poprzez użytą formę językową wyrażamy bowiem swój stosunek do osób.

Mam też inną osobistą misję. Dla mnie jako językoznawczynie jest bardzo ważne, by mówić o komunikowaniu się i identyfikowaniu za pomocą języka. Zabiegam o to, by rozumiano, czym zajmuje się językoznawstwo i jak ważna jest rola tej dyscypliny we współczesnym świecie. W szerszej perspektywie marzę o jedności nauki, jednej, światowej, bez sztucznych podziałów, bo przecież nauka w swej podstawie i naturze jest humanistyczna! To najważniejsza z moich misji.



FOT. ADRIAN WYKROTA

ZACZĘŁO SIĘ OD JEDNEJ KOLBY

Potrafiać chronić przed epidemią, walczyć z rakiem i grypą. Korozja nie ma z nimi szans; dzięki nim obejrzymy film na super ekranie. Do tego są bezpieczne dla środowiska. Możliwości gemini surfaktantów, uniwersalnych związków chemicznych, są prawie nieograniczone.

– Kocham chemię. Uważam ją za jedną z najpiękniejszych nauk, ponieważ w dużym stopniu potrafi wyjaśnić naszą egzystencję. Wszystko, co nas otacza, jest chemią; my sami jesteśmy jednym wielkim laboratorium chemicznym, również nasze myśli, emocje. Jak słyszę, że chemia truje i zabija, to się z tym absolutnie nie zgadzam. Bo chemia to jest nasze życie, tylko trzeba umiejętnie się do niej odnosić – mówi **prof. Bogumił Brycki**, który na co dzień kieruje Pracownią Chemii Mikrobiocytów na Wydziale Chemii UAM.

W pracowni naukowcy badają związki, które kontrolują populację drobnoustrojów i ograniczają ją do poziomu nie stwarzającego zagrożenia. Jednymi z tych związków są gemini surfaktanty. – Do gemini surfaktantów podchodzimy z miłością. To nie jest tak, że napiszemy pracę, zrobimy projekt i kończymy. Dla nas to przygoda – wyjaśnia prof. Brycki, który nie kryje swojego zaangażowania.

Podwójne tysiąc razy lepsze od pojedynczych

Przygoda ta rozpoczęła się 10 lat temu, kiedy do chemików z UAM skierowano delegację z Uniwersytetu Wuhan w Chinach. Naukowcy z Kraju Środka poszukiwali nowych związków, które spełniałyby wiele funkcji. Dobrze trafili – to, co

zaproponowali im chemicy z UAM, było strzałem w dziesiątkę. Okazało się, że gemini surfaktanty, powstające przez połączenie dwóch cząsteczek pojedynczych surfaktantów mają właściwości niemal tysiąc razy lepsze niż wyjściowe związki.

– To jest ich kolosalna przewaga – tłumaczy prof. Brycki. – Wyobraźmy sobie, że używamy roztworu tradycyjnego związku o stężeniu 1 procent. W przypadku gemini surfaktantów wystarczy jedna dziesiąta, setna, a nawet mniej. Związki te przy zachowaniu wszystkich multifunkcyjnych właściwości są też o wiele lepiej biodegradowalne, co minimalizuje toksyczny wpływ na środowisko.

Podwójne surfaktanty mają niezwykle złożone właściwości: detergencyjne, biobójcze, antykorozyjne, dyspergujące. W zależności od potrzeb można wykorzystywać jedną z nich, kilka albo wszystkie. Taka uniwersalność pozwala wyeliminować udział innych związków.

Nanomedycyna i ekrany

Naukowcy z UAM zrealizowali w Chinach wiele innowacyjnych projektów. Okazało się, że podwójne surfaktanty są skutecznymi dyspergatorami (substancjami zwiększającymi łatwość rozdrabniania większych cząstek) w nanomedycy-

nie. W tym roku badacze podjęli się zadania wykorzystania związków do nowych leków przeciwnowotworowych w tzw. terapii fotodynamicznej. Surfactanty tworzą nanopęcherzyki i w nich dostarczają substancje czynne do organizmu, następnie odpowiedni bodziec uruchamia działanie leku. Jest to tzw. inteligentny środek (smart material), który działa w ściśle określonym miejscu, co pozwala ograniczyć efekty uboczne terapii.

Chińczycy wykorzystują gemini surfaktanty także do produkcji bardzo sprawnych monitorów i ekranów telewizyjnych. W tym przypadku związki dyspergują ciekłe kryształy. – Te projekty bardzo dobrze się spisały. Nasza współpraca ze stroną chińską stoi na wysokim poziomie – podkreśla naukowiec.

Wygrać z grypą

Od kilku lat trwa równie owocna współpraca z Uniwersytetem Amirkabir w Teheranie, który w Rankingu Szanghajskim znacznie wyprzedza UAM. Chemicy razem z partnerami z Teheranu przygotowują na przykład związki do ochrony nasion przed chorobami i szkodnikami. Te związki zastępują środki chemiczne używane w wysokim stężeniu, nieobojętne dla środowiska. Badania dotyczą również nanotechnologii – dzięki umieszczeniu związków we włóknach uzyskano materiał, który ma doskonałe właściwości filtrujące i przeciwdrobnoustrojowe.

Od zeszłego prof. Brycki razem z irańskimi naukowcami oraz przedstawicielami Instytutu Pasteura, jednej z najlepszych jednostek badawczych na świecie, zaczęli badania

chesterze, jednym z największych w Europie ośrodków zajmujących się materiałoznawstwem, na uniwersytecie w Barcelonie oraz w specjalistycznym laboratorium w Aveiro w Portugalii.

Natomiast dla Orlen Oil i PKN Orlen poznańscy chemicy opracowali preparaty do kondycjonowania paliw i cieczy chłodzących. Zastępują one wszelkie inne związki, które zapobiegają rozwojowi korozji i biokorozji. – To jest gigantyczny projekt. Stworzyliśmy odpowiednie kompozycje związków. Kolejnym etapem będzie dopasowanie substancji zgodnie ze światową kartą paliw – mówi prof. Brycki.

Inteligentne maski

Na polski rynek zespół prof. Bryckiego wynalazł inteligentne maski chroniące przed biologicznymi zagrożeniami. Maski aktywuje się w określonym czasie i miejscu, wraz z pierwszym oddechem pracownika, który ją zakłada, w tym przypadku biobójcze właściwości uruchamia wilgoć. Maski chroni zarówno ludzi, jak również produkty spożywcze. Za to opatentowane rozwiązanie, które będzie chronić pracowników w fermach hodowlanych, chemicy dostali nagrodę przyznaną przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Osoby na fermach są szczególnie narażone na zakażenia, ponieważ na co dzień stykają się z bardzo dużą ilością drobnoustrojów. – Maski planujemy przenieść na rynek chiński, gdzie zagrożenia biologiczne są częstsze niż u nas, jak pokazuje epidemia koronawirusa, a wcześniej SARS – dodaje prof. Brycki.

Papier zero waste

Opracowanie papierów higienizacyjnych, w których nie będzie środków syntetycznych, to kolejny duży projekt (dofinansowany z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju), którym kieruje prof. Brycki. Realizuje go jedna z dużych polskich firm. Nie wszyscy wiedzą, że ręczniki papierowe, jakich używamy w kuchni czy łazience, nie nadają się do recyklingu. A to dlatego, że papier jest nasączany żywicami, żeby się nie rozpadał. W rezultacie powstają tony śmieci, które zalegają na wysypiskach. Naukowcy poddają resztki papieru i rolki hydrolizie enzymatycznej, by odzyskać z nich nano- i mikrowłókna celulozowe, które następnie są modyfikowane przez substancje zawierające gemini surfaktanty. Te ostatnie służą do dyspergowania innych substancji czynnych i zapobiegają rozwijaniu się flory bakteryjnej na papierze. Poddany tym zabiegom ręcznik jest trwały, choć nie zawiera żywicy i może być poddany recyklingowi. – To przykład bezodpadowej produkcji (zero waste) wykorzystującej wszystko, co się da – wyjaśnia prof. Brycki. – W ten sposób oszczędza się m.in. wodę i energię. Gemini surfaktanty wykorzystuje się też do tworzenia bezpiecznych opakowań np. na jajka i inne produkty spożywcze. Takie opakowania długo pozostają czyste i pod względem biologicznym są barierą, która nie dopuści mikroorganizmów do bliskiego kontaktu z jedzeniem.

To tylko część możliwości niezwykłych gemini surfaktantów, które w przyszłości znajdą zastosowanie w wielu gałęziach gospodarki. – Cieszą mnie przede wszystkim te projekty, z którymi zewnętrzne jednostki same się do nas zwracają. Pod wpływem impulsu z ich strony tworzymy nowe związki, robimy badania, które są bardzo perspektywiczne. Pomyśleć, że wszystko zaczęło się od jednej kolby – podsumowuje prof. Brycki.

Ewa Konarzewska-Michalak

Podwójne surfaktanty mają niezwykle złożone właściwości: detergencyjne, biobójcze, antykorozyjne, dyspergujące

w kierunku zwalczania wirusa grypy. Pierwsze próbki trafiły już do Instytutu. – Do struktur wirusa dopasowujemy w modelowaniu molekularnym struktury związków tak, żeby wyłączyć elementy aktywne w wirusie – przybliża zagadnienie prof. Brycki. Badacze mają nadzieję, że w przyszłości będzie można uzyskać zarówno skuteczne leki na grypę, jak i środki biobójcze do stosowania w przestrzeni publicznej.

Najlepsze na korozję

Okazuje się, że gemini surfaktanty doskonale chronią też przed korozją. Skuteczność nanowarstw, którą pokrywa się metalowe powierzchnie, jest tak wysoka, że żadne inne substancje nie mogą się z nią równać. Co ciekawe, związki można zamknąć w kapsułkach i w ten sposób wprowadzić do materiału, którym pokrywa się wieże wiertnicze czy kadłuby statków. Gdy powierzchnia ulega zarysowaniu i powstaje załazek korozji, substancja uwalnia się z kapsułki, by go zneutralizować. Badania antykorozyjnych właściwości prowadzono w laboratoriach School of Materials w Man-

EKO TO NIE ZAWSZE EKOLOGIA

W czasach globalnego ocieplenia chcemy jak najmniej szkodzić planecie.

Używamy bawełnianych toreb zamiast reklamówek.

Ci bardziej zamożni myślą o zamianie samochodu na elektryczny, który nie kopci i nie zatrzuwa powietrza. Ale czy na pewno nasze wybory służą środowisku?

– Głosi się hasła, że wszystko, co ekologiczne jest bardzo dobre. Niekoniecznie. Nie ma w życiu jednoznacznie dobrych i złych rzeczy – mówi prof. Bogumił Brycki z Wydziału Chemii UAM. – Jest tylko produkt i jego działanie. Dokonując wyboru powinniśmy kierować się zdrowym rozsądkiem, nie emocjami. Każdy związek chemiczny, kiedy wchodził na rynek, był wychwalany, np. uważano, że kwas borowy jest dobry na wszystko – najlepszy do przepłukiwania ran, do przemywania oczu niemowlętom. Teraz już się go nie używa, bo okazał się toksyczny i kancerogeny.

Od ponad 40 lat naukowcy badają cykle życiowe produktów, po to, żeby dowiedzieć się, jak wpływają na środowisko. – W wielu przypadkach długo, a może nawet nigdy, nie będziemy w stanie stwierdzić, jaki produkt jest bezpieczniejszy dla środowiska, np. czy lepsze jest opakowanie szklane czy też plastikowe – twierdzi prof. Piotr Matczak z Wydziału Socjologii UAM. – W takich sytuacjach musimy odwołać się do naszych ogólnych przekonań.

Plastikowe słomki to margines

Panuje potoczne przekonanie, że torby bawełniane są lepsze niż plastikowe. Bo są wytworzone z naturalnych składników. Jednak biorąc pod uwagę cykl życiowy tych przedmiotów okazuje się, że siatki z tworzyw sztucznych wygrywają. Tak wynika z badań Ministerstwa Środowiska i Żywności w Danii przeprowadzonych w 2018 roku pod kątem wpływu produkcji na zmiany klimatyczne (niszczenie warstwy ozonowej, zużycie wody, zanieczyszczenie powietrza i toksyczność dla ludzi). Z drugiej strony Duńczycy nie wzięli pod uwagę wielkiego problemu, jakim jest zaśmiecenie oceanów plastikiem, który rozkłada się przez kilkaset lat.

– Powinniśmy dążyć do tego, żeby opakowania plastikowe chociaż w części były biodegradowalne. Zamiast tworzyw takich jak polipropylen, polietylen używać poliaktydu, który jest biodegradowalny. Niestety, jest on 5 razy droższy – podkreśla prof. Brycki.

Pewne jest to, że używamy zbyt wiele plastiku. Jeszcze kilka lat temu wydawano w sklepach monstrualną ilość toreb. Nie zaszkodzi ograniczyć nabywania rzeczy, bez względu na to, z czego są zrobione, a te, które mamy wykorzystywać jak najdłużej. Prof. Andrzej Mizgajski z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych twierdzi, że zawsze warto oszczędzać energię i wodę. Trudno nie zgodzić się z tym przekonaniem.

Śledząc to, o czym mówi się w mediach warto też zwrócić uwagę na kwestię skali. – Gdy toczyła się batalia o plastikowe słomki, byłem na Kongresie Światowego Towarzystwa Socjologicznego w Toronto. Wysłuchałem referatu, który pokazywał, że słomki są sprawą marginalną w porównaniu

do ilości plastiku produkowanego na świecie. Jeśli wycofaliśmy je z produkcji, miałyby to niewielkie znaczenie – wyjaśnia prof. Matczak.

Jak samice pąkli zmieniły płęć

Wprowadzając produkt na rynek nie zawsze łatwo przewidzieć, czym to się skończy. Przykładem jest trybulotycyna, która zdewastowała środowisko mórz. Kilkadziesiąt lat temu kadłuby statków i łodzie malowano farbami zawierającymi związki cyny (trybulotycyny), by zapobiec przyczepianiu się do nich skorupiaków, a dokładnie pąkli. Chodziło o to, by zmniejszyć zużycie paliwa, ponieważ statki pokryte pąklami spalały go dwa razy więcej. Okazało się jednak, że związki cyny przedostawały się do morskiej wody i powodowały maskulinizację pąkli. Zauważono, że samice skorupiaków żyjące na trasie np. promów kursujących po Bałtyku zamieniały się w samców. To doprowadziło do spadku populacji pąkli, przerwania łańcucha pokarmowego i zachwiania ekosystemu. Trybulotycyna była też niesłychanie popularna jako środek przeciwbakteryjny – nasycano nią paski, torebki, buty. Unia Europejska wycofała ją z użytku, ale zanim środowisko się zregeneruje, minie wiele lat.

Czysta energia – piękna teoria?

Już teraz wiadomo, że samochody elektryczne nie są wcale takie „zielone”, jak sądzono. Piętą achillesową pojazdów są akumulatory, do produkcji których potrzebne są rzadkie i toksyczne metale. Wydobycie tych surowców, produkcja baterii i ich utylizacja szkodzi środowisku.

– Chińczycy chcą zbudować w Polsce największą fabrykę do utylizacji akumulatorów. I tu pojawił się opór społeczeństwa. Rozumiem to, bo też nie chciałbym mieć w sąsiedztwie takiego zakładu. W Stanach Zjednoczonych przez wiele lat prowadzono badania epidemiologiczne na terenie, gdzie działała podobna fabryka. Okazało się, że w promieniu kilkunastu kilometrów zaobserwowano wzrost zachorowań na nowotwory – wyjaśnia prof. Brycki.

Jednym z wyzwań naszych czasów jest produkcja czystej energii ze źródeł odnawialnych. Wiele nadziei wiąże się z wodorem, który jako paliwo samochodowe teoretycznie ma neutralny wpływ na środowisko. – Podstawowym warunkiem, aby wodór mógł zastąpić bieżące nośniki energii jest opracowanie taniej, wydajnej i szybkiej metody produkcji tego gazu. Jeden ze sposobów polega na produkcji wodoru z rozkładu wody za pomocą energii słonecznej w ogniach fotoelektrochemicznych (PEC) – informuje prof. Igor Iatsunskyi, który prowadzi badania nad napędem wodorowym w Centrum NanoBioMedycznym. – Zasada działania ogniwa PEC jest bardzo zbliżona do idei

fotowoltaicznych ogniw słonecznych, gdzie materiał półprzewodnikowy absorbuje światło słoneczne, wytwarza siłę elektromotoryczną. W ogniwach PEC przekształca on energię słoneczną w energię chemiczną – kontynuuje naukowiec. – Powstała para elektron–dziura reaguje z elektrolitem, co powoduje powstanie wodoru i tlenu. Energia słoneczna wydaje się mieć przyszłość np. w lotnictwie. Już dziś projektuje się i buduje samoloty „napędzane na słońce”. Na razie lot trwa krótko, ale to są dopiero początki.

Jak dotąd nie ma sposobu wytwarzania energii, który pozbawiony byłby negatywnych skutków. Weźmy bioelektrownie wykorzystujące wyłącznie biomasę. Nie dość, że ich wydajność energetyczna stanowi $\frac{1}{4}$ wydajności węgla to emitują one podobną ilość dwutlenku węgla, co tradycyjne elektrownie. Poza tym część biomasy trzeba sprowadzać z zagranicy, bo w przepisach jest ściśle ustalone, ile zrębków leśnych, odpadów zbożowych oraz wierzby energetycznej elektrownia ma używać, a nie wszystkie te materiały w odpowiedniej ilości można znaleźć na miejscu. W ten sposób niszczy się przyrodę, a niewiele dostaje w zamian. – Energia powinna być pozyskiwana z wielu źródeł. Zwolennicy różnych teorii widzą tylko swój punkt widzenia, a trzeba patrzeć pragmatycznie i w sposób wyważony – uważa prof. Brycki.

Klimat ważny dla bogatszych

Nasze przekonania dotyczące ekologii zmieniają się w czasie. Ciekawym przykładem jest jakość powietrza. Na ten temat dużo mówiło i pisało się w latach 80. i początku 90. Powstawały poważne prace naukowe poświęcone negatywnemu oddziaływaniu zanieczyszczeń, zwłaszcza związków siarki. W Polsce temat zniknął z dyskusji publicznej około 1994–5 roku, kiedy problem częściowo rozwiązało wprowadzenie do przemysłu skuteczniejszych filtrów oraz likwidacja wielu fabryk stosujących przestarzałe technologie. W ostatnich latach temat powrócił. Dlaczego teraz? – Do końca nie wiemy. Istnieją mody, w tym również ekologiczne – mówi prof. Matczak. – Być może za 20 lat nikt nie będzie dyskutował o zmianie klimatu, bo znajdzie się coś bardziej atrakcyjnego.

Póki co na temat powietrza skażonego pyłem dużo się w Polsce dyskutuje. – Ale kontekst społeczny jest inny niż przed laty – kontynuuje socjolog. – W Krakowie zbadano ruch ludzi domagających się działań związanych z jakością powietrza. Okazało się, że są to osoby z klasy średniej, niekoniecznie najbardziej narażone na negatywne oddziaływania zanieczyszczonego powietrza, ale takie, które mają zaspokojone podstawowe potrzeby i teraz zaczęły zwracać uwagę na sprawę jakości środowiska. To byłoby zgodne z koncepcją amerykańskiego badacza Ronalda Ingleharta, który twierdzi, że jakość środowiska należy do wartości postmaterialnych.

Według niego społeczeństwa biedne skupiają się na wartościach materialnych, pozwalających przetrwać. Jeśli ludzie czują się bezpiecznie, mają co jeść i gdzie mieszkać, zaczynają zwracać uwagę na potrzeby bardziej wyrafinowane. Jednym słowem, kiedy nie muszą martwić się, czy starczy im do pierwszego, wtedy zaczynają się zastanawiać, dlaczego chorują.

Badania Europejskiej Agencji Środowiska pokazują, że powietrze w krajach postkomunistycznych, takich jak Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria jest bardziej zanieczyszczone niż w krajach „starej” Europy.

Ewa Konarzewska–Michalak

JAK BADACZKI UAM ZDOBYWAJĄ GRANTY NA BADANIA NAUKOWE?

W takich uniwersytetach jak UAM finansowanie badań naukowych opiera się nadal głównie na środkach budżetowych [subwencja MNiSW], jednak pozyskiwanie środków zewnętrznych na prowadzenie badań stało się już naszą codziennością.



FOT. ARCHIWUM WŁASNE

Prof. Beata Mikołajczyk
Prorektor UAM

Trudno dziś wyobrazić sobie prowadzenie badań bez realizacji projektów naukowych, czyli także bez (nie zawsze skutecznych) aplikacji grantowych. System grantowy w Polsce jest dobrze rozwinięty i chociaż budżety, jakimi dysponują polskie agencje grantowe nie są adekwatne zarówno do naszych potrzeb, jak i naszych naukowych aspiracji, to zaczyna spełniać ważną rolę w finansowaniu badań. Oczywiście pozyskiwanie grantów na badania nie powinno być wartością samą w sobie, granty wymyślono przecież po to, by prowadziły

ciąg dalszy na str. 12

JAK BADACZKI UAM ZDOBYWAJĄ GRANTY NA BADANIA NAUKOWE?

ciąg dalszy ze str. 11

do intensyfikowania wysiłków badawczych, wspierania najlepszych badaczy i ułatwiania uzyskiwania najwyższej jakości efektów badań oraz ich upowszechniania. Wszyscy, nie tylko osoby odpowiedzialne za politykę naukową uczelni i poszczególnych dyscyplin, nie możemy zapomnieć, że samo pozyskiwanie grantów – dzięki zasadom parametryzacji – nabrało pewnej wartości autonomicznej; oto bowiem to, jak i w jakiej wysokości środki zewnętrzne pozyskaliśmy (tzw. kryterium 2) wpływa wprost na wysokość oceny w nadchodzącej ewaluacji dyscypliny. Aktywność grantowa znajduje także swoje odzwierciedlenie w algorytmie, który dzieli subwencję na poszczególne uczelnie.

Bezpośrednimi adresatami grantów są oczywiście indywidualni badacze (i grupy badawcze wokół nich skupione) i to oni w ramach procedur grantowych konkurują między sobą o przyznanie środków. Skuteczne pozyskiwanie zewnętrznych środków finansowych na badania nie jest także bez znaczenia dla zatrudniających ich instytucji.

Od lat systematycznie przybywa kobiet w szkołach wyższych

Według opublikowanego przez UNESCO w czerwcu 2018 raportu „Women in Science” struktura zaangażowania kobiet Polsce w obszarze szkolnictwa wyższego oraz nauki jest podobna do tej w wielu krajach europejskich: kobiety stanowią 60 procent wszystkich studentów studiów I stopnia; stanowią także większość wśród kształcących się w szkołach doktorskich/na studiach doktoranckich; systematycznie rośnie też liczba zatrudnionych kobiet na uczelniach w charakterze nauczyciela akademickiego (choć nadal są one w mniejszości). Trendy takie daje się zaobserwować także na naszym uniwersytecie. W roku akademickim 2018/2019 na UAM studiowało blisko 24 tys. studentek (68,9% wszystkich studentów). Obecnie zatrudniamy 1433 kobiety jako nauczycieli akademickich, co stanowi 48,1% pracujących na UAM. Tytuł naukowy profesora ma 87 z nich (32,3% wszystkich zatrudnionych z tytułem naukowym). Kobiety stanowią zatem znaczącą grupę nauczycieli akademickich, warto więc spojrzeć także na to, w jaki sposób radzą sobie z pozyskiwaniem grantów.

Dane, które zostaną tutaj omówione (bardzo dziękuję za ich udostępnienie Centrum Wsparcia Projektów UAM), dotyczą aktywności kobiet związanych z UAM (doktorantek oraz zatrudnionych na uniwersytecie badaczek) w pozyskiwaniu funduszy na realizację projektów naukowych pozyskiwanych z Narodowego Centrum Nauki (NCN).

NCN przyjęło 19 lutego 2019 stanowisko w sprawie równego dostępu kobiet i mężczyzn do środków finansowych na badania naukowe, w którym wymienia najważniejsze działania podejmowane w celu wyrównania dostępności do finansowania dla kobiet i mężczyzn. Należy do nich m.in. „wprowadzenie dodatkowych, do tych zawartych w Kodeksie Pracy, regulacji dotyczących urlopów macierzyńskich i wychowawczych. Regulacje te umożliwiają kobietom doliczanie 18 miesięcy za każde urodzone bądź przysposobione dziecko do zakresu

danych poddawanych ocenie w każdym konkursie”. I rzeczywiście w przypadku wszystkich aplikacji limitowanych czasowo poprzez okres pomiędzy np. uzyskaniem stopnia doktora a terminem złożenia wniosku (SONATINA, SONATA, SONARA BIS) termin złożenia wniosku może ulec istotnemu wydłużeniu w związku z opieką i wychowaniem dzieci.

Przyjrzyjmy się liczbom

Narodowe Centrum Nauki wspiera finansowo prowadzenie badań podstawowych. Konkursy grantowe są przeprowadzane w ramach trzech tzw. paneli dziedzinowych:

HS – nauki humanistyczne, społeczne i o sztuce

NZ – nauki o Ziemi

ST – nauki ścisłe i techniczne.

Z szeregu rozmaitych konkursów grantowych skierowanych zarówno do indywidualnych badaczy (doktorantów i osób zatrudnionych w placówkach badawczych) wybrałam kilka, które pozyskać można na różnych etapach kariery naukowej.

PRELUDIUM / PRELUDIUM BIS

PRELUDIUM to konkurs na projekty badawcze realizowane przez osoby rozpoczynające działalność naukową i nie posiadające stopnia naukowego doktora, zaś PRELUDIUM BIS – do osób kształcących się w szkołach doktorskich.

Statystykę aktywności grantowej w latach 2016 – 2019 w tych konkursach adeptek i adeptów nauki związanych z naszym uniwersytetem ilustruje poniższa tabela:

	Złożone aplikacje			Projekty zakwalifikowane do realizacji		
	łącznie	k	m	łącznie	k	m
HS	201	111	90	42	23	19
NZ	67	46	21	17	10	7
ST	150	63	87	47	20	27
łącznie	418	220	198	106	53	53

SONATINA

To konkurs dla osób, które mają stopień naukowy doktora, uzyskany w okresie do 3 lat przed wystąpieniem z wnioskiem. Konkurs dotyczy realizacji projektu badawczego oraz stażu w zagranicznym ośrodku naukowym.

	Złożone aplikacje			Projekty zakwalifikowane do realizacji		
	łącznie	k	m	łącznie	k	m
HS	19	9	10	3	0	3
NZ	9	2	7	5	2	3
ST	26	7	19	14	5	9
łącznie	54	18	36	22	7	15

SONATA

To konkurs na projekty badawcze realizowane przez osoby rozpoczynające karierę naukową i mające stopień doktora. W konkursie mogą brać udział naukowcy, którzy uzyskali stopień doktora w okresie od 2 do 7 lat przed rokiem złożenia wniosku.

Oto statystyka wniosków rozpatrzonych w latach 2016 – 2019 w już zamkniętych edycjach.

	Złożone aplikacje			Projekty zakwalifikowane do realizacji		
	łącznie	k	m	łącznie	k	m
HS	34	14	20	10	8	2
NZ	19	7	12	10	4	6
ST	48	25	23	18	7	11
	101	46	55	38	19	19

A oto liczba aplikacji złożonych w grudniu 2019 w ramach edycji SONATA 15 (w czerwcu 2020 nastąpi rozstrzygnięcie konkursu).

	Złożone aplikacje		
	łącznie	k	m
HS	18	12	6
NZ	8	3	5
ST	19	11	8
	45	26	19

SONATA BIS

To konkurs na projekty badawcze mające na celu powołanie nowego zespołu naukowego, realizowane przez osoby mające stopień naukowy lub tytuł naukowy, które uzyskały stopień naukowy doktora w okresie od 5 do 12 lat przed rokiem wystąpienia z wnioskiem. Oto liczba wniosków rozpatrzonych w latach 2016 – 2019 w już zamkniętych edycjach.

	Złożone aplikacje			Projekty zakwalifikowane do realizacji		
	łącznie	k	m	łącznie	k	m
HS	12	9	3	5	3	2
NZ	19	10	9	9	6	3
ST	21	3	18	7	0	7
	52	22	30	21	9	12

W ramach edycji SONATA BIS 9 złożono w roku 2019 następującą liczbę wniosków (ich rozstrzygnięcie nastąpi w marcu 2020).

v	Złożone aplikacje		
	łącznie	k	m
HS	4	2	2
NZ	7	1	6
ST	11	4	7
	22	7	15

OPUS

To najpopularniejszy wśród pracowników UAM konkurs grantowy adresowany do naukowców na wszystkich etapach kariery. Dane liczbowe z lat 2016 – 2019 przedstawiają się następująco:

	Złożone aplikacje			Projekty zakwalifikowane do finansowania		
	łącznie	k	m	łącznie	k	m
HS	230	89	141	37	7	30
NZ	156	67	89	27	8	19
ST	250	54	196	39	8	31
	636	210	426	103	23	80

Kariera naukowa kobiet widziana poprzez ich aktywność grantową

Dane statystyczne (także te dotyczące Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej) pokazują, że badaczki związane z UAM stają coraz aktywniejsze w pozyskiwaniu środków finansowych na badania. Z wielu rozmów wynika, że mają one dużą świadomość tego, jak ważne jest obecnie pozyskiwanie grantów naukowych, także dla ich indywidualnego rozwoju.

Nadal występują istotne dysproporcje w aktywności grantowej na poszczególnych etapach kariery naukowej. Najbardziej aktywne są adepty nauki, które składają dużo wniosków grantowych i są podobnie skuteczne jak ich koledzy. Na dalszych etapach kariery (kilka lat po doktoracie) można skonstatować następujące zjawiska: z jednej strony w konkursach grantowych takich jak SONATA nie zarysowuje się istotna różnica między liczbą składanych aplikacji pomiędzy kobietami i mężczyznami. Niestety, wnioski kobiet są często niżej oceniane od aplikacji ich kolegów (niższy wskaźnik sukcesu). Natomiast konkursy grantowe, w ramach których przewidziany jest zagraniczny staż naukowy (np. SONATINA), nie są już wybierane tak licznie przez kobiety jak przez mężczyzn. Podobny trend obserwujemy w konkursach na tworzenie pierwszych grup badawczych.

Wytlumaczenie takiego stanu rzeczy jest dość oczywiste. Jest to etap w życiu kobiety, w którym wiele badaczek stara się pogodzić życie akademickie, uprawianie badań naukowych z życiem rodzinnym. Wiele badań socjologicznych wskazuje na fakt odchodzenia z życia naukowego lub spowalniania kariery naukowej kobiet po 30. roku życia, kiedy decydują się na urodzenie dzieci. Powrót do nauki jest trudny i wymaga dużej determinacji, ale także czasu. Trudniej też podjąć decyzję o dłuższym wyjeździe zagranicznym. Okres macierzyństwa, a potem opieki nad małym dzieckiem może także wpłynąć na efektywność naukową, a co za tym idzie na mniejszy dorobek publikacyjny w porównaniu z pracującymi pełną parą kolegami. W tym może tkwić przyczyna częstszych niepowodzeń aplikacji kobiet na tym etapie kariery.

Ponadto nadal bardzo widoczne są różnice pomiędzy poszczególnymi dziedzinami nauki. W tych zwyczajowo męskich, jak ST, aktywność grantowa kobiet (podobnie jak ich zatrudnienie) jest mniejsza, choć i to się zmienia, wystarczy spojrzeć na liczbę aplikacji w konkursie SONATA 15 – na 19 złożonych wniosków w panelu ST autorkami aż jedenastu są kobiety.

Biorąc pod uwagę tylko tę dość selektywną garść danych, stwierdzić należy, że konieczna jest ze strony uczelni aktywna polityka nie tylko zachęcająca kobiety, ale także sprzyjająca ich wysiłkom w pozyskiwaniu grantów i to szczególnie wtedy, kiedy badaczki wracają do pracy naukowej po okresie macierzyństwa.

Nie mam żadnych wątpliwości, że jedynym kryterium decydującym o przyznaniu finansowania grantowego jest i powinna być wartość merytoryczna wniosku, a płeć osoby aplikującej nie może mieć znaczenia. Zadaniem uczelni jest stworzenie takich warunków, które w elastyczny i zrównoważony sposób pozwolą na realizację aspiracji naukowych (także w postaci dobrze przygotowanych aplikacji grantowych) swoich badaczek i badaczy. Powinny to być takie warunki, które wyjdą naprzeciw ich indywidualnym potrzebom.

W ostatnich latach można zaobserwować wiele różnych działań motywujących i wspierających pracowników UAM, w tym także działań skierowanych do badaczek, jednak, jak pokazują powyższe dane, wciąż jest wiele do zrobienia.

Prof. Beata Mikołajczyk
Prorektorka UAM

ŻYCIE JEST PIĘKNE. PO POZNAŃSKU

Powodów, żeby porozmawiać
z prof. Piotrem Kordubą zawsze jest
przynajmniej kilka.

Tak było i tym razem. Znany ze swego
odkrywczego zmysłu profesor Instytutu
Historii Sztuki może być dumny, bo:

Po pierwsze:

Teatr Usta Usta Republika wystawia sztukę pt. „Tymczasem pa, Kochany Skarbunieczku” pokazując jak młody człowiek przeżył wojnę nie przeżywając jej.

Po drugie:

Mija właśnie 10 lat od momentu znalezienia przez profesora fascynujących, wojennych rysunków, świadczących o niezwyklej miłości ojca do syna.

Po trzecie:

Profesor Korduba, wielokrotny znalazca rzeczy niezwykłych, jest głównym sprawcą „zamieszania”, ale i naukowcem, który zwraca Poznaniowi pamięć o mieście i jego ludziach.

Wiosną 2010 roku Piotr Korduba razem z koleżanką Aleksandrą Paradowską skupił się na zbieraniu informacji o poznańskim Grunwaldzie. Celowali w ulicę Ostroroga i Skarbka oraz ich przedwojenną willową zabudowę. Temat okazał się tak samo fascynujący, jak i ludzie z ich historiami, mieszkańcy wspomnianych domów. Para podzieliła się domami i adresami. Szczęście chciało, że mój rozmówca zajrzał pod numer 35.

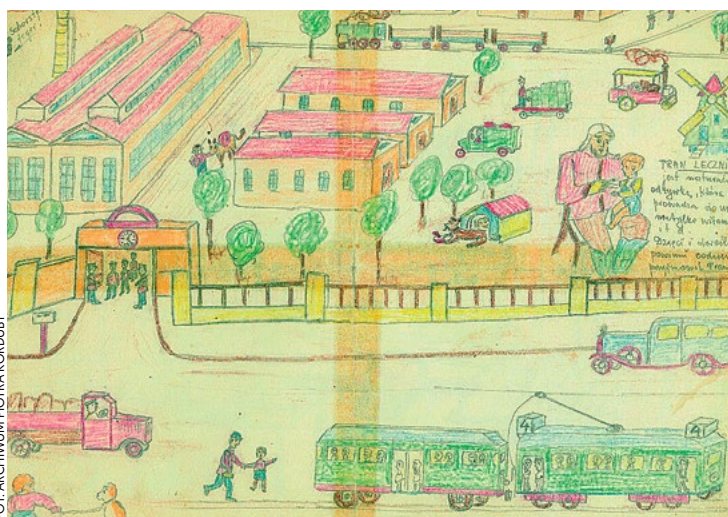
– Zapukałem do państwa Kowalskich. Miło mnie przyjęto – wspomina prof. Korduba. – Obgadaliśmy dość rutynowo szczegóły, na początku skupiając się na budowie owej willi. Żyjący

jeszcze wówczas Jerzy Kowalski opowiedział, jak to ojciec postawił dom, ukrywając ten fakt przed matką. Wspomnił o historii rodziny, a na koniec dość nieśmiało otworzył szafę.

Szafa była jak sezam. Wprawdzie nie potrzeba było zaklęcia, aby ją otworzyć, to jednak kryła w sobie prawdziwy skarb z epoki. Profesor, już po przewertowaniu kilku stron poszytu, stwierdził, że ma do czynienia z niezwyklej, unikatowym materiałem. Było to zestaw ponad 30 rysunków-listów ojca do syna z okresu II wojny światowej. Zestaw niezwyklej, bowiem stanowił korespondencję rodzinną. Był sposobem komunikowania się ojca, mieszkającego w Poznaniu, z synem – wywiezionym do rodziny w okolicach Słupcy.

– Proszę mi wierzyć – zapewnia prof. Korduba. – Oczy mi rozbłysły, ale nie wiedziałem do końca, z jaką historią wiązał się zestaw kolorowych rysunków wykonanych przez Antoniego Kowalskiego, ojca mojego gospodarza. By ją poznać, trzeba było kilku spotkań, dopowiedzenia historii, którą napisało życie poznańskiej rodziny. Niestety, pamięć mojego rozmówcy była zawodna i w zasadzie opierała się na rysunkach jego ojca. Szybko się zorientowałem, że chodziło w nich o wymazanie czasu wojny z życia dziecka. Że to taka polska wersja filmu „Życie jest piękne”.

Ale po kolei. Rodzina Kowalskich w czasie wojny mieszkała w willi sąsiadującej z niemieckim dyrektorem HCP. Ojciec rodziny był cenionym inżynierem Cegielskiego. To pomogło, ale



tylko przez chwilę, bo i tak rodzinę przesiedlono do znacznie skromniejszego mieszkania przy ul. Palacza. Wówczas rodzice stwierdzili, że ich syn będzie każdego roku spędzał po kilka miesięcy u rodziny na wsi. Inżynier Kowalski starał się odwiedzać w soboty lub niedziele swojego syna „na zesłaniu”. By to zrobić, musiał postarać się o przepustkę. Tę można było uzyskać za łapówkę – głównie produkty spożywcze, które przywoził ze wsi.

– Zaopatrzony w taki glejt ruszał w drogę „w ważnych sprawach służbowych” – mówi prof. Korduba. – Spotkania z synem trwały po kilka – kilkanaście godzin. Efektem były zamówienia na rysunki o Poznaniu, składane przez małego Jurka. Był to też sposób komunikacji między nimi. Druga strona zawierała korespondencję rodzinną. Na obu nie było żadnych akcentów wojennych. Żadnych. Jednak to, że list dotarł do syna, świadczył, że ojciec szczęśliwie wrócił do domu i nikt nie podważył wiarygodności trefnych przepustek, ani nie zatrzymał go za szmugiel żywności. Uspokajał.

Dziś dysponujemy 33 rysunkami Antoniego Kowalskiego. Wszystkie trafiły do albumu pt. „Tymczasem pa, Kochany Skar-

bunieczku”; słowa te kończyły niemal każdy wysłany list. Rysunków byłoby więcej, ale ojciec z synem umówili się, że prace będą oceniane. Te, które otrzymały ocenę niedostateczną... ładowały w koszu.

– Ojciec Jerzego miał wprawną inżynierską rękę i dobrze oddawał atmosferę i wygląd miasta – mówi profesor. – Gorzej było w przypadku rysowania postaci ludzi czy zwierząt. W każdym razie z rysunków wynika jedno – wojna została z nich wymazana. Podobnie w części pisanej. Są tu jednak pewne ukryte symbole. Znajdujemy je choćby w części dotyczącej wysiedlenia rodziny. Pokazane jest na nich nowe, małe mieszkanie, gdzie sprzęty z willi piętrzą się na sobie. Opis dotyczy nowego mieszkania, nigdzie nie pada słowo „przesiedlenie”. Rysunki są bardzo wiarygodne, a mimo to w niektórych przypadkach trzeba było sporo wysiłku, by odgadnąć, jaki fragment miasta prezentują. Część z nich była dodatkowo kamuflowana. Przedstawiając np. zakłady Cegielskiego inżynier Kowalski dodawał fragmenty reklam. Wszystko po to, by na początku nie zakwalifikowano rysunku jako materiału szpiegowskiego. Takie to były czasy.

Na rysunkach inżyniera Kowalskiego nie brakuje fragmentów, na których ojciec jest przedstawiany z synem. Zdaniem profesora Korduby, intencją ich autora była wizualizacja przebywania razem. Tylko na jednym z nich jest matka – stomatolog sprowadzony w czasie wojny do roli pomocy dentystycznej.

– Być może tak rzadka obecność mamy miała zapobiec wzmaganiu tęsknoty za nią – mówi profesor. – Rysunki zadziałały. Zrobiły swoje. Jerzy Kowalski, ich adresat, w drugiej połowie swojego życia z czasów wojny nie pamiętał nic poza tym, co na nich było.

Odkrycie prof. Korduby zyskało kolejny wymiar. Dzięki teatrowi „Usta Usta Republika” na sceniczne deski trafiła sztuka oparta o rysunki-listy Antoniego Kowalskiego do syna.

– Byłem zaskoczony, ale i zbudowany. Mam poczucie, że rzecz jest unikatowa, bo pokazuje nieoczywistość wojennych losów. To mikrohistoria, niuansująca i ciekawie opowiadająca czas wojny. Są w sztuce wątki dotyczące umiejętności wychodzenia z opresji przez Polaków, ale przede wszystkim niesamowita relacja budowana między ojcem, który wymazuje wojnę z pamięci syna i go chroni. Są nowe wątki, jak np. rozmowa chłopca z Hitlerem, scena dotycząca wyboru zabawek, jakie może wziąć na wieś, czy ta dotycząca tragicznych losów Żydów z Zagórowa. To dobra sztuka i naprawdę dobry pomysł reżyserski na rozwinięcie historii spisanej przeze mnie wcześniej. Byłem. Widziałem. Wzruszyłem się.

Byliśmy. Widzieliśmy. Wzruszyliśmy się.
Czego i Państwu życzymy

Krzysztof Smura



OPEROWE SZALEŃSTWO

– Cherubini od dawna leży w grobie, a teraz proszę kuć żelazo, póki gorące – usłyszała Paulina Książek od promotorki, kiedy zmieniała temat pracy licencjackiej pod wpływem spotkania ze znaną choreografką Sachą Waltz. Dziś laureatka Diamentowego Grantu tworzy nowatorską metodologię badania szaleństwa i złożonych postaci kobiecych w operach.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Muzyka towarzyszy Paulinie Książek od dzieciństwa. W jej rodzinie dużo się śpiewało i grało na instrumentach. Już w szkole muzycznej młoda klarnecistka wiedziała, że nie wyobraża sobie życia bez muzyki. – Zyskiwałam jednak przekonanie, że instrumentalistka to nie jest to, co mnie interesuje najbardziej. W historii muzyki jest tyle rzeczy do odkrycia, że nie chciało mi się poświęcać czasu na ćwiczenie. Wolałam książki, słuchanie audycji, za co ganił mnie profesor od klarnetu – wspomina studentka.

Potem były przełomowe „Diabły z Loudun” Krzysztofa Pendereckiego i postać ojca Grandiera. – Z każdym kolejnym obejrzanym dziełem uzmyslałam sobie, że synteza muzyki i tekstu jest idealnym połączeniem. – mówi. – Muzyka może dopełnić tekst, stanąć w kontrze, wchodzić w różne relacje. Odkrywanie tych powiązań jest niezwykle.

Podążając za swoją pasją Paulina Książek zaczęła studia muzykologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Pracę licencjacką poświęciła „Medei”, ale nie autorstwa Luigi Cherubiniego, jak miała w planach, lecz Pascala Dusapina, współczesnego kompozytora francuskiego. Wszystkiemu była „winna” Sacha Waltz, która przyjechała do Opery Narodowej. Zafascynowanej nią studentce nie udało się, co prawda, zdobyć autografu po spektaklu, ale niespodziewanie spotkała choreografkę i reżyserkę „Medei” Dusapina w mieście. Prawdziwy łut szczęścia zaowocował nawiązaniem kontaktu z twórczynią. Muzykolożka przez chwilę wahała się, którą z „Medei” wybrać na licencjat. – Pani Paulino, Cherubini od dawna leży w grobie, a teraz proszę kuć żelazo, póki gorące – usłyszała od promotorki.

Po obronie studentka wyjechała do Poznania. – Poznań ma jedyną muzykologię w Polsce, gdzie powstała specjalność operologiczna. – wspomina Paulina Książek. – Kiedy poczułam, że opera jest tym gatunkiem, któremu chcę poświęcić swoją pracę naukową, wybrałam studia magisterskie na UAM.

Medea była pierwszą ze złożonych postaci kobiecych, które pojawiły się na jej naukowej drodze. Potem przyszedł czas na kolejne – bohaterki oper Pendereckiego: matkę Joannę przeżywającą psychozę na tle seksualnym („Diabły z Loudun”), wpędzoną w obłąd Benignę („Czarna Maski”) i opętaną żądzą władzy Ubicę („Ubu król”). Im właśnie studentka poświęciła projekt, na realizację którego dostała Diamentowy Grant. Tak

się złożyło, że muzykolożka do twórczości polskiego kompozytora wróciła po kilku latach przerwy. Z jego muzyką spędziła dzieciństwo i wczesną młodość – nie mogło być inaczej, wszak pochodzi z małej miejscowości pod Dębicą, gdzie Penderecki się urodził i chodził do szkoły muzycznej jego imienia.

Paulina Książek interpretuje w projekcie wspomniane opery pod kątem ukazania problematyki szaleństwa i nienormalności postaci kobiecych. Zagadnienie bada z perspektywy nauk społecznych (psychologii i socjologii), humanistycznych (filozofii) oraz medycznych (psychiatrii). – Analizuję, w jaki sposób kompozytor portretuje psychologiczne zawiłania w muzyce. Opery Pendereckiego wydały mi się najbardziej wdzięcznym materiałem – mówi. – Po pierwsze dlatego, że kompozytor posługiwał się nowym, poszerzonym językiem brzmieniowym, po drugie spodziewałam się, że znajdę w nich pewne niuanse świadczące o wrażliwości na elementy psychologiczne i społeczne. Nie zawiodłam się.

Jednym z takich detali jest prosty, z pozoru nic nie znaczący zabieg, ukazujący złożoność historii: – Matka Joanna odnosząc się do Boga, śpiewa dysonans opadający, a do ojca Grandiera wznoszący. Biorąc pod uwagę retorykę barokową powinno być odwrotnie. To podpowiada, o co tak naprawdę chodzi – o chorą miłość do księdza. – wyjaśnia badaczka. – Ten zabieg, a także wiele innych, dowodzi, że muzyka potrafi komunikować treści, których być może w tekście nie znajdziemy.

Laureatka Diamentowego Grantu pracuje m.in. nad nową metodologią pozwalającą badać zjawisko szaleństwa i nienormalności w innych dziełach scenicznych. – Jak dotąd nie ma w muzykologicznej literaturze całościowego podejścia do tej tematyki. – twierdzi Paulina Książek. – Analizowane były tylko pojedyncze sceny. Wybrałam szeroką perspektywę, której do tej pory nie stosowano. Bez niej nigdy nie uzyskamy pełnego obrazu postaci i sposobu, w jaki potraktowali je kompozytorzy.

Muzykolożka wyda pieniądze z grantu na kwerendę i na zakup literatury, która w Polsce nie jest dostępna. Planuje też wyjazd m.in. do archiwów siostr urszulanek we Francji, który pozwoli dotrzeć do źródeł i pogłębić wiedzę o socjologicznych aspektach funkcjonowania mitu opętania zakonnic.

Ewa Konarzewska-Michalak

CO WIEDZĄ O NAS KOMÓRKI?

Telefon komórkowy – szpieg, którego kochamy i nie wyobrażamy sobie bez niego życia.

W czasach, gdy w 1946 roku ważyły ponad 40 kg, nikt nie sądził, że w przyszłości staną się naszymi najlepszymi przyjaciółmi i zarazem wrogami.

Dziś telefony komórkowe wiedzą o nas więcej niż nasza rodzina czy przyjaciele. A co o nas wiedzą? O tym z dr. inż. Marcinem Gogolewskim z Wydziału Matematyki i Informatyki rozmawia Jagoda Haloszka.

Kiedyś było lepiej?

Kiedyś zastosowanie tych urządzeń było inne, takie, jak telefonów przewodowych – ich „komórkowość” wynikała ze sposobu połączenia. Terminal przełączał się pomiędzy antenami w trakcie przemieszczania. Zagrożenia były też zupełnie inne. Zdarzały się przypadki rozmowy na czyjś koszt, klonowania terminali – zabezpieczenia nie były priorytetem, bo dotyczyło to bardzo niewielu użytkowników. Nawet upowszechnienie się technologii komórkowej nie zmieniło w istotny sposób sytuacji. Jedynymi cennymi danymi w telefonie mogła być książka adresowa i kilka wiadomości SMS (z początku ich liczba była bardzo ograniczona) oraz historia połączeń.

Nie tak dawno szef Apple’a Tim Cook przyznał, że w telefonie jest dziś więcej informacji o mnie, jako o właścicielu urządzenia – niż w moim własnym mieszkaniu.

Problemem nie jest to, co umieszczamy w telefonie komórkowym, lecz co można z niego uzyskać. Każdy telefon zawiera kontakty, zdjęcia, informację, gdzie bywaliśmy (pośrednio), czy (i gdzie) się logował. Szczęśliwie, do większości z tych danych osoby postronne nie mają prostego dostępu, czyli wiąże się to z pewną ochroną. Choć oczywiście w chwili utraty telefonu ta ochrona nie jest zbyt dobra. W wielu przypadkach można odgadnąć sposób dostania się do telefonu. Głównym problemem jest jednak to, co telefon sam udostępnia – nie zawsze informując o tym użytkownika, np. geotagi wraz z udostępnianymi, całkiem świadomie, zdjęciami, które nie zostają usunięte. Telefony zdradzają również używane wcześniej i zapamiętane sieci, do których się łączyły, dzięki czemu możemy dowiedzieć się, gdzie dana osoba bywała.

Po co one to robią?

Większość danych jest udostępniana dla wygody użytkownika. Wchodzimy do domu, a telefon łączy się automatycznie z siecią domową, udostępnia nowe zdjęcia do przeglądania na telewizorze. Przy bardziej zaawansowanych urządzeniach możliwe jest uruchomienie czajnika, ogrzewania, zestawu audio, czy oświetlenia – zarówno po powrocie do domu jak również, gdy znajdziemy



się wystarczająco blisko niego. Geotagi mogą służyć do sporządzenia mapy wycieczki wraz z podanymi czasami wykonania zdjęcia. Niestety, użytkownik nie jest często świadomy, jakie dane udostępnia i, co dość oczywiste, nie wie, w jaki sposób działają protokoły odpowiedzialne za te wszystkie udogodnienia. Zwykle też nie byłby zadowolony, gdyby wymagały dodatkowej konfiguracji – np. w celu autoryzacji urządzenia, czy jego anonimizacji.

A czy istnieją jakieś sposoby na usunięcie geotagów?

To, czy na zdjęciach umieszczane są geotagi, możemy zwykle ustawić w konfiguracji. Nie ma też technicznego problemu z usunięciem tego typu informacji ze zdjęcia – wiele programów umożliwia edycję danych EXIF. Zaskakująco niewielu użytkowników pamięta jednak o fakcie umieszczenia geotaga, a portale udostępniające zdjęcia często nie ułatwiają sprawy (np. wyłączenie lokalizacji jest możliwe tylko dla wszystkich zdjęć użytkownika i nie ma możliwości cofnięcia takiej operacji, albo taka opcja nie istnieje).

Łasi na nasze dane są także reklamodawcy, którzy za wszelką cenę chcą dowiedzieć się, co nas interesuje i później bombardować nas reklamami swoich produktów.

Tak, badanie preferencji klientów jest dla nich bardzo ważne z punktu widzenia skuteczności reklamy i bywa nieszkodliwe dla użytkownika (przy tej samej liczbie reklam otrzymuje częściej takie, które mogłyby go zainteresować). Podobnie jak w przypadku śledzenia przez odwiedzane strony www. Można śledzić potencjalnego klienta na podstawie adresu jego telefonu komórkowego (sieci WiFi, BT) i wyświetlać w pobliżu reklamy produktów, przy których np. dłużej się zatrzymał w trakcie spaceru po centrum handlowym, można na tej podstawie rozpoznawać także stałych klientów – ludzie zaskakująco rzadko pożyczają sobie telefony komórkowe. Do niektórych celów nie jest potrzebny nawet telefon. Wystarczą włączone słuchawki bezprzewodowe, czy zegarek z możliwością synchronizacji z telefonem.

Czy da się skonfigurować dany telefon tak, aby zbierał o użytkownika tylko niezbędne dane?

Krótką odpowiedź brzmi – niestety nie. Nie chodzi nawet o to, że bardzo trudno sprawdzić, czy autor aplikacji lub producent telefonu rzeczywiście stosuje się do zdefiniowanych reguł, a telefon nie ma zainstalowanego oprogramowania śledzącego. Po prostu nie jest łatwo określić, które dane są „niezbędne” i kiedy użytkownik będzie chciał z nich skorzystać. Oczywiście, wspomniane problemy nie wyczerpują tematu. Na telefonach komórkowych i komputerach można obecnie uruchamiać identyczne aplikacje (przynajmniej funkcjonalnie), skrypty na stronie www mogą mieć dostęp do lokalizacji urządzenia, aplikacje mające dostęp do zdjęć mogą z nich wydobyć różne informacje – jednak te zagadnienia nie są już specyficzne dla telefonów komórkowych, dotyczą praktycznie każdego urządzenia.



FOT. ADRIAN WYKROTA

MIGANIE PO UNIWERSYTECKU

Dr Karolina Ruta-Korytowska od lat zajmuje się studentami niesłyszącymi.

Była inicjatorką powołania Koła Miłośników Języka Papillon. Niedawno zagrała w filmie Studia Filmowego UAM „Efekt motyla”. Rozmawia z nią Krzysztof Smura.

Filmem „Efekt motyla” wprowadziła nas pani w klimat, kulturę głuchych. Jak zaczęła się ta pani przygoda?

To był początek mojej pracy zawodowej, a właściwie jeszcze wcześniej, bo w czasie studiów doktoranckich na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej. Prowadziłam wtedy zajęcia z nauki o współczesnym języku polskim i w jednej z grup był student niesłyszący. Po pierwszych zajęciach przyszedł na konsultację, by wyjaśnić swoją sytuację. Ze względu na głęboki ubytek słuchu nie mógł uczestniczyć w dyskusji, bo musiał widzieć rozmówcę, by móc czytać z ruchu warg. Ponadto nie zawsze rozumiał pojęcia, którymi się posługiwaliśmy. Nie rozumiał ich, bo nigdy wcześniej się z nimi nie spotkał w języku migowym. Chodzi o takie pojęcia jak podmiot, orzeczenie, czy modulant, fonem. Język polski był dla niego językiem obcym, którego uczył się tak samo, jak słyszący Polacy uczą się innych języków. Po tej rozmowie stwierdziłam, że należy mu pomóc, by studia, które rozpoczął, były rzeczywistie dla niego dostępne. Przyznam, że poczułam się niekompetentna. Nie wiedziałam nic o możliwościach komunikacyjnych osób z wadą słuchu. Nie znałam języka migowego. Uznałam, że to ode mnie teraz zależy, czy ten student ukończy studia. Dlatego ukończyłam kilka edycji kursów systemu językowo-migowego i studia podyplomowe z polskiego języka migowego na Uniwersytecie Warszawskim. Dzięki uprzejmości władz wydziału udało mi się wiele zrobić, by hasło „uniwersytet bez barier” stało się faktem. W pierwszej kolejności posta-

wiłam sobie za cel zorganizowanie lektoratu polskiego języka migowego dla pracowników dydaktycznych. Później udało się dołączyć również studentów, którzy do dzisiaj (to już prawie 10 lat) mają możliwość uczestnictwa w zajęciach przygotowujących ich do pracy nauczyciela z uczniem niesłyszącym. Poza lektorem migowym organizuję także obozy naukowo-integracyjne, podczas których studenci wydziału wraz ze studentami UAM z wadą słuchu spotykają się, by uczyć się komunikacji pomiędzy dwoma światami – słyszących i niesłyszących. Tu ogromne podziękowania za wsparcie kieruję do prorektora ds. studenckich UAM i pełnomocniczki rektora UAM ds. osób z niepełnosprawnościami, które od lat wspierają tę inicjatywę.

A co z wykształceniem w tym kierunku? Jak nabyć umiejętności, które sprawiają, że nasi rozmówcy rzeczywiście zechcą nas „słuchać”?

Możliwości jest wiele. Najpierw trzeba chcieć. A jak są już chęci, to można uczestniczyć w kursach polskiego języka migowego. Dodam, że obecnie jest możliwość skorzystania z darmowego kursu PJM w ramach projektu realizowanego na naszym uniwersytecie KOLaboratorium UAM (więcej na www.kolaboratorium.amu.edu.pl). Proszę pamiętać, że znajomość języka migowego nie jest konieczna, by móc rozmawiać z niesłyszącymi. Może będzie to dla niektórych zaskoczenie, gdy powiem, że wiele osób głuchych nie zna języka migowego. Nie zna go,

bo rodzi się w rodzinach słyszących, gdzie język migowy nie funkcjonuje jako środek komunikacji. A zatem bardzo często niesłyszący pierwszy kontakt z językiem migowym mają dopiero w chwili, gdy rozpoczynają edukację w ośrodkach szkolno-wychowawczych dla niesłyszących, gdzie poznają rówieśników posługujących się językiem migowym. Poza znajomością języka migowego warto zainteresować się również kulturą głuchych. Osoby te jako przedstawiciele mniejszości językowo-kulturowej tworzą poezję, mają swoje dowcipy, migają muzykę.

Czy słyszący może łatwo zrozumieć osobę z dysfunkcją słuchu?

Wszystko zależy od jego kompetencji, wiedzy i... świadomości. Bo największą barierą w komunikacji z osobami niesłyszącymi jest brak świadomości słyszących na temat funkcjonowania językowego osób z wadą słuchu. Niewielu z nas wie, że zdecydowana większość głuchych dzieci rodzi się rodzicom słyszącym. Zatem rodzice nie mają z nim wspólnego języka. Bo głuchy rodzi się z naturalną zdolnością przyswojenia języka migowego, a nie fonicznego języka polskiego, tak samo jak my, słyszący, rodzimy się z naturalną zdolnością do przyswojenia języka fonicznego. Rodzice głuchych dzieci nie znają języka migowego, zatem nie mają z nim pełnego kontaktu. Niewielu jest takich rodziców, którzy dowiedziawszy się, że ich dziecko jest niesłyszące, zapisują się na kurs języka migowego.

Niemniej jest kilka podstawowych zasad, które poprawiają jakość komunikacji z osobami z wadą słuchu. Wystarczy dobra wola obu stron i świadomość słyszących, że wielu głuchych potrafi czytać z ruchu warg, a zatem jeśli chcemy nawiązać z nimi kontakt, trzeba dbać o to, by być zwróconym twarzą do naszego rozmówcy. Głuchym przeszkadza hałas, bo nie są wtedy w stanie wyłapać strumienia mowy swojego rozmówcy. Przeszkadzać będzie ruch uliczny, gwar na korytarzu, w tramwaju czy np. głośnie muzyka lub grający telewizor. Głuchym przeszkadza światło, jeśli pada ono zza pleców rozmówcy, bo utrudnia czytanie z ust. Do głuchych nie trzeba mówić wolniej i głośnie, to wręcz przeszkadza w odbiorze mowy. Ważne, by być cierpliwym i w razie potrzeby, gdy głuchy nie zrozumie naszego komunikatu, należy powtórzyć tyle razy, ile będzie to konieczne, a w sytuacji awaryjnej warto użyć kartki i długopisu i zapisać to, co chcemy przekazać.

Miałem przyjaciela w szkole podstawowej. Janusz pochodził z rodziny głuchoniemych. Siedziałem z nim przez lata w jednej ławce. Nauczyciele zwracali nam uwagę, aby dużo do niego mówić. To podejście ewoluowało?

Rzeczywiście jeszcze do niedawna dominowało podejście oralistyczne w rehabilitacji osób z wadą słuchu. Co więcej, w roku 1880 odbył się międzynarodowy kongres, podczas którego zdecydowano, że język migowy będzie zakazany w edukacji niesłyszących. Zakaz ten obowiązywał przez ponad 100 lat. Wspomniany wcześniej student potwierdził, że w ośrodku dla niesłyszących i niedosłyszących w Poznaniu też ten zakaz obowiązywał. Podejście oralistyczne pozbawiło głuchych komunikacji w ich pierwszym języku, czyli takim, który powinni nabyć drogą naturalnej akwizycji, nie ucząc się go na kursach. Słyszający w taki sposób nabywają foniczny język polski. Podejście oralistyczne było krzywdzące dla społeczności osób z dysfunkcją słuchu. Bo częstsze mówienie do głuchego nie sprawiło, że zaczynał on słyszeć, co się do niego mówi. Nie sprawiło, że zaczynał on rozumieć język polski, bez uczenia się go. Powodowało jedynie to, że głusi nie mieli środka komunikacji, nie mieli możliwości porozumiewania się w swoim pierwszym języku.

Może będzie to dla niektórych zaskoczenie, gdy powiem, że wiele osób głuchych nie zna języka migowego

Sytuację głuchych porównać można do tej, której doświadczyliśmy jako Polacy, gdy nasz kraj był pod zaborami. Wtedy też język polski był zabroniony. Proszę sobie wyobrazić, że dzisiaj zaczyna obowiązywać zakaz mówienia po polsku na UAM i jedynym dopuszczalnym środkiem komunikacji jest np. język chiński... Chyba nie trzeba nic więcej dodawać.

Na szczęście dzisiaj wraz ze wzrostem świadomości słyszących, ale też zainteresowania ośrodków badawczych i naukowych osobami z wadą słuchu, podejście to jest wypierane i coraz częściej można spotkać osoby słyszące, które znają język migowy, przynajmniej w takim zakresie, by móc nawiązać pierwszy kontakt. Z dobrych praktyk wymienić można również, fakt, że w różnych ośrodkach badawczych prowadzi się badania naukowe dotyczące komunikacji osób z wadą słuchu.

Powiedziała pani kiedyś, że świat głuchych to dla nas obcokrajowcy. Jak to tłumaczyć?

Głusi, jak wspomniałam, rodzą się w znacznej większości w rodzinach słyszących. Dynastycznych głuchych, czyli takich, w których rodzinach są głusi dziadkowie, rodzice, rodzeństwo jest ok. 10% wg danych z literatury naukowej. Zatem zaledwie 10% tych osób wychowuje się od pierwszych dni życia w rodzinach, w których językiem komunikacji jest język migowy. Takie dzieci drogą naturalnej akwizycji przyswajają ten język dokładnie tak samo, jak my, słyszący, przyswajamy język polski foniczny, będąc „zanurzeni w kąpiel słowa” od pierwszych dni życia, tak jak głuche dzieci widzą język migowy. 90% dzieci głuchych pozbawionych jest tej możliwości nabycia pierwszego języka, który jest im dostępny percepcyjnie. Język foniczny takim nie jest. Jest im obcy. Z perspektywy glottodydaktycznej głusi są zatem „obcokrajowcami” - ten termin oddaje istotę sprawy. Wspomniany na początku student skończył filologię polską, która dla niego jest filologią obcą.

Jakie miejsce w pani życiu zajmuje Koło Miłośników Języka Papillon, zdobywca nagrody „Popularyzator nauki 2018”?

To moje „dziecko”. Już w czasie studiów magisterskich założyłam koło naukowe, które pierwotnie zajmowało się szeroko pojętym językoznawstwem współczesnym. Później, gdy zainteresowałam się językiem migowym, coraz więcej uwagi poświęcałmy zagadnieniom komunikacji osób z wadą słuchu. A dzisiaj to już nasz główny profil. Dzięki temu, że członkami koła są studentki z wadą słuchu, staliśmy się grupą osób, której działania nakierowane są przede wszystkim na zwiększanie świadomości słyszących na temat barier komunikacyjnych i na zbliżanie do siebie światów słyszących i głuchych. Nie ukrywam, że jestem dumna z tego, co osiągnęliśmy. W roku 2018 wygraliśmy w konkursie „Popularyzator nauki”. Nagroda ta dała nam jeszcze więcej motywacji do działania. Mam nadzieję, że dzięki naszej działalności światy słyszących i głuchych staną się sobie bliższe. Nie bądźmy głusi na potrzeby głuchych.

MŁODZIEŻ JAKO PODMIOT, ALE I PRZEDMIOT BADAŃ

– W naukach społecznych uznaje się konieczność pogłębionych studiów i badań nad młodzieżą jako głównego aktora perspektywnych zmian. Pojawia się potrzeba poszukiwania i dookreślenia odpowiedzi na pytanie – młodzież czyli kto? A nawet – młodzieże czyli kto?, bo jest to kategoria społeczna niezwykle zróżnicowana – mówi prof. Agnieszka Cybal-Michalska, dziekan Wydziału Studiów Edukacyjnych, inicjatorka powstania Zespołu Pedagogiki Młodzieży.

Młode pokolenie w dużym stopniu jest takie, jak świat, w którym przyszło im żyć. Rzeczywistość współczesna stwarza wielość możliwości, co z jednej strony stanowi ogromną szansę, z drugiej zaś jest źródłem niepokoju związanego z wyborem. Jak pisze Krystyna Szafraniec, „sytuacja młodych, ich sposób postrzegania świata, ich aspiracje i dążenia życiowe są miarą zmian, które już się dokonały i dystansu, jaki jeszcze jest do pokonania” (Raport Młodzi 2011). Współczesnej młodzieży przypisuje się także znaczącą rolę w budowaniu przyszłości, poprzez dynamizowanie struktury społecznej i wnoszenie do społeczeństwa wartości innowacyjnych – uważa dr Bożena Kanclerz, sekretarz ZPM.

Idea powstania Zespołu Pedagogiki Młodzieży zrodziła się na WSE UAM, w jego Zakładzie Socjopedagogicznych Problemów Młodzieży. W działalności naukowo-badawczej i dydaktycznej pracowników problematyka młodzieży, a w szczególności badania nad kondycją współczesnej młodzieży, lokują się wśród najważniejszych. Stanowią one układ odniesienia dla rozważań nad przyszłością społeczeństwa. ZPM funkcjonuje od ponad 3 lat przy Komitecie Nauk Pedagogicznych PAN. Celem jego działalności jest rozwój subdyscypliny – pedagogiki młodzieży, a także wymiana myśli naukowej i doświadczeń w pracy z młodymi.

Rozwój tej subdyscypliny jest pożądanym m.in. w kontekście edukacyjnym; dzięki niemu pedagodzy są w stanie adekwatnie reagować na zmiany zachodzące w systemie kształcenia. Dostrzegając potrzebę pogłębionych studiów nad młodzieżą, pracownicy Zakładu Socjopedagogicznych Problemów Młodzieży prowadzą przedmiot pedagogika młodzieży, podczas którego studenci – przyszli nauczyciele, zdobywają kompetencje do pracy z młodymi, będącymi w trudnym okresie pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. W zreformowanej 8-letniej szkole podstawowej praca z młodzieżą jest istotnym *novum* dla wielu nawet doświadczonych nauczycieli, którzy do tej pory pracowali z dziećmi, dziś natomiast muszą pełnić także rolę wychowawców młodzieży.

Wielosć spraw i światów, w których funkcjonują współcześni młodzi ludzie, a także zainteresowania badawcze naukowców, stały się przyczynkiem do powstania 10 zespołów roboczych w ramach ZPM, które badają szeroko rozumiane problemy młodzieży. W zespołach powstają publikacje i projekty badań



Prof. Agnieszka Cybal-Michalska i dr Bożena Kanclerz

FOT. ADRIAN WYKOTA

naukowych. – Bardzo cieszymy się, że zespół stanowi forum integrujące środowisko naukowe pedagogów, promuje współczesne nurty rozwoju pedagogiki młodzieży i kierunki badań nad młodzieżą, oparte na dorobku nauk humanistycznych i społecznych oraz wynikających z nich rozwiązaniach dla praktyki edukacyjnej. Zespół bierze także udział w interdyscyplinarnym dyskursie – niejako w poprzek subdyscyplin – wokół kluczowych problemów pedagogiki młodzieży. Bowi-

to w pracach pedagogicznych, ale również socjologicznych, kulturowych i filozoficznych, młodzież jest przedmiotem i podmiotem badań – podkreśla prof. Agnieszka Cybal-Michalska.

Naukowcy badają m.in. młodzież w kontekście środowiska edukacyjno-zawodowego, kulturowego czy też lokalnego i globalnego. Ważnym obszarem badawczym są także zagadnienia związane z procesem formowania się tożsamości czy kształtowanie orientacji prorozwojowych wśród młodzieży.

– Badania prowadzone przez pracowników Zakładu Socjopedagogicznych Problemów Młodzieży, zarówno wśród licealistów jak i studentów pokazują, że w ostatnich latach mimo wybrzmiewających licznych problemów i trudności, z jakimi musi radzić sobie współczesne pokolenie młodych, badani nadal nastawieni są prorodzinnie i cenią sobie takie wartości, jak: miłość, rodzina czy przyjaźń. Wyniki te pozwalają myśleć pozytywnie o przyszłości młodych ludzi – mówi dr Kanclerz.

140 uczestników ZPM z 20 ośrodków akademickich z kraju spotyka się trzy razy w roku. Niedawno odbyło się dziesiąte, jubileuszowe posiedzenie. Spotkania wiążą się z wykładami wybitnych pedagogów (m.in. prof. Bogusław Śliwerski, prof. Marek Kucia, prof. Stefan Kwiatkowski, prof. Zbyszko Melosik, prof. Wojciech Skrzydlewski) i są okazją do zapoznania się z najnowszymi badaniami nad młodzieżą oraz do prowadzenia ożywionych dyskusji. Jednym z elementów posiedzeń jest cykl „Poranna kawa z cytatami: One, Oni mówią...”, zaproponowany przez prof. A. Cybal-Michalską, adresowany do młodych naukowców. Na każdym posiedzeniu losują oni cztery cytaty, które traktują jako punkt wyjścia do zaprezentowania swoich poglądów dotyczących świata młodzieży i młodzieży w świecie, popartych doniesieniami z literatury przedmiotu.

Anna Kamińska

Więcej na stronie www.uniwersyteckie.pl

WYGNANI Z DOMU

Z prof. Małgorzatą Praczyk z Wydziału Historii UAM, autorką „Pamięci środowiskowej we wspomnieniach osadników na »Ziemiach Odzyskanych«”, uznanej za najlepszą książkę 2018 roku dotyczącą problematyki pamięci, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.



FOT. ADRIAN WYKOTA

Temat pani książki bardzo mnie zainteresował, wie pani, dlaczego?

Może dlatego, że łatwo go odnieść do innych epok i miejsc na świecie, bo migracje są uniwersalnym zjawiskiem, a problemy, które opisałam, towarzyszą ludziom od wieków; a być może dlatego, że wszystkich nas otacza przyroda. Współcześnie, ze względu na zmiany klimatyczne coraz bardziej zastanawiamy się nad rolą środowiska przyrodniczego i klimatu w naszym życiu. Często słyszę też od ludzi, którzy nie bardzo interesują się historią, że w mojej książce odnajdują swoje historie rodzinne.

No właśnie - moi dziadkowie z obu stron byli osadnikami na tzw. »Ziemiach Odzyskanych«.

Voilà! Również w pani rodzinnej soczewce skupiają się historie z książki. W Europie Środkowo-Wschodniej większość rodzin ma doświadczenia migracyjne. Choć współcześnie Polska jest społeczeństwem monokulturowym i wydaje się, że jesteśmy tu od zawsze, trudno o bardziej mylący stereotyp. Znając historię naszego regionu, tym bardziej przykro jest mi obserwować antymigracyjną atmosferę, która nas otacza.

Co panią zafascynowało w »Ziemiach Odzyskanych«?

Przede wszystkim chciałam się zająć relacjami między ludźmi a środowiskiem przyrodniczym. Starałam się więc znaleźć taki obszar i moment w historii, w którym da się uchwycić interesujące mnie kwestie. Migracje wyostrowają ten problem, a w polskiej historii, bezprecedensowe ruchy ludności wiązały się właśnie z zasiedlaniem »Ziem Odzyskanych«. Wiedziałam też, że będę mogła oprzeć moje badania na unikalnym źródle historycznym – pisanych po wojnie pamiętnikach, wysyłanych na przeróżne konkursy, w tym na konkursy osadników na tych ziemiach. Dzięki temu mogłam połączyć badania z zakresu historii środowiskowej z badaniami nad pamięcią, którymi również się zajmuję. Przeanalizowałam około 1250 pamiętników pochodzących ze wszystkich regionów »Ziem Odzyskanych«. Pierwsze z tych wspomnień pochodziły z 1948 roku, a ostatnie z 1998 roku. Dysponowałam więc źródłami, które powstawały na przestrzeni połowy stulecia, spisywanymi zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn, ludzi o różnym statusie społecznym, pozycji ekonomicznej, wykształceniu.

Pani książka jest wyjątkowa, bo mówi o relacjach ludzi z otaczającym środowiskiem. Skąd pomysł na takie ujęcie tematu? Rzeczywiście, w pisarstwie historycznym, szczególnie w Polsce, jest to ciągle mało przebadany temat. Tym problemem zajmuje się historia środowiskowa. Badane są tu relacje między ludźmi

a przyrodą, ich wzajemne oddziaływanie na siebie. W książce opisałam trzy najważniejsze etapy doświadczenia migracyjnego osadników, odnoszące się do przyrody: etap wyjazdu, a więc przyrody utraconej – tej, która ich kształtowała, i którą oni kształtowali, a którą musieli opuścić. Tutaj znajdujemy rozdzierające opisy porzucanych zwierząt, ludzi płaczących z powodu utraty koni czy kotów, ale też opisy trudnych zmagania z przyrodą poleskich bagien, żmijami, wilkami, czy opisy biednych zaszczurzonych dzielnic miast Polski centralnej. Drugi etap dotyczył drogi i odnosił się do zazwyczaj wycieńczających warunków podróżowania na »Ziemie Odzyskane«, pierwszych obserwacji nowego krajobrazu, zachwytów nad nim i rozczarowań. Ostatni etap odnosił się do przyrody zasiedlanej, do osławiania i zadamawiania się w nowym świecie. Pełno tu z opisów walki z plagami gryzoni czy trudności z okiełznaniem postapokaliptycznego świata, ale i empatii, troski o zwierzęta, które często gwarantowały przetrwanie, o rośliny, dające nie tylko owoce, ale i estetyczną pociechę.

Jako dziecko wyobrażałam sobie, że podróż mojej babci z Kresów na »Ziemie Odzyskane« była fajną przygodą. W książce pokazuje pani zupełnie inny obraz – skrajnie trudne warunki, insekty, chorych ludzi i zwierzęta.

My – mam na myśli współczesnych – takich »przygód« chyba byśmy nie przeżyli. Uderzyło mnie, że ludzie pisali o drodze jako o czymś trudnym do przeżycia, a byli często bardziej odporni i silniejsi niż my. Niektórzy wspominali, że pierwszy raz w życiu zachorowali właśnie w transporcie. Nie raz podróżowali w jednym wagonie z krowami czy świniami, które niekiedy, w ścisiku, zadeptywały się nawzajem. Jechali w przeciekających albo pozbawionych zadach wagonach. Choć podróż zajmowała krótki fragment ich życia, wspomnienie to było na tyle silne, że w pamiętnikach poświęcano mu często bardzo wiele miejsca.

Czy zamierza kontynuować pani te badania?

Owszem. W 2020 roku odbędzie się na naszym uniwersytecie konferencja poświęcona rzeczonemu środowisku przyrodniczemu oraz przestrzeni na »Ziemiach Odzyskanych«, którą organizuję wraz z dr Emilią Kledzik oraz prof. Maciejem Michalskim. Mam też pomysł na kolejną książkę zanurzoną w problematyce historii środowiskowej, ale to już temat na inną rozmowę.

Książka prof. Praczyk zwyciężyła w konkursie organizowanym w ramach II Polskiej Konferencji Pamięcioznawczej.

ZAKOCHAĆ SIĘ W ROBOCIE

Sztuczna inteligencja – zarówno roboty humanoidalne, jak i aplikacje na telefony – w najbliższych latach będą coraz częściej przedmiotem westchnień ze strony ludzi – uważa dr Maciej Musiał z Wydziału Filozoficznego UAM.

Rozwój prac nad sztuczną inteligencją w ostatnich latach znacząco przyspieszył. Na przykład aplikacje na telefony komórkowe są w stanie wspomóc nas w niemal każdej dziedzinie życia. – Nowym zjawiskiem, które staje się coraz częstsze, jest nawiązywanie relacji emocjonalnej ze sztuczną inteligencją pod różną postacią – uważa filozof dr Maciej Musiał, który opublikował w tym roku książkę „Enchanting Robots: Intimacy, Magic and Technology” („Czarujące roboty i zaczarowywanie robotów: intymność, magia i technologia”).

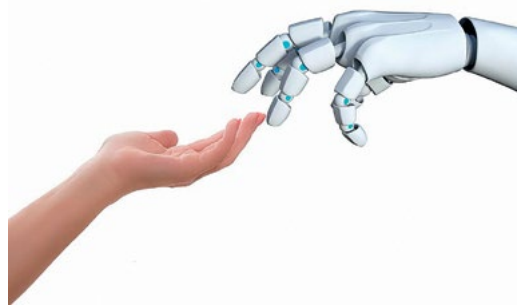
Uczucie przywiązania do przedmiotów nieożywionych, do jakich zaliczają się roboty – zdaniem naukowca – nie jest zjawiskiem całkowicie nowym. Jednak w przypadku robotów mamy do czynienia z sytuacją pod pewnymi względami szczególną. – Warto zauważyć, że stosunek ludzi do robotów zwykle łączy ze sobą dwa mechanizmy, które co prawda często odnoszą się do stosunku ludzi wobec innych przedmiotów, ale rzadko występują razem: przywiązanie emocjonalne oraz animizację, czyli nadawanie im cech istot żywych – wskazuje.

Zastrzega również, że gdy animizujemy jakieś przedmioty, np. mówiąc do samochodu, zwykle robimy to z dużym przymrużeniem oka. W przypadku robotów odbywa się to w znacznej mierze na serio, o czym zaświadcza m.in. badania wskazujące, że niektórzy użytkownicy automatycznych odkurzaczy sprzątają swoje domy samodzielnie lub pozostawiają je w nieładzie, ponieważ uważają, że odkurzacz automatyczny jest zmęczony albo ma zły nastrój.

Dr Musiał zauważa, że animizowanie robotów nie następuje tylko w czasie prywatnych interakcji z nimi, ale również w sferze publicznej, np. robot Sophia otrzymał obywatelstwo Arabii Saudyjskiej, a w centrum Wiednia można znaleźć monument na cześć algorytmu AlphaGo. – Co ciekawe, opis monumentu nie mówi nic o twórcach tego algorytmu i wyraża hołd wobec samego algorytmu – dodaje.

Dr Musiał powiedział, że postępy zarówno w robotyce, jak i w pracach nad rozwojem sztucznej inteligencji powodują, że zakochywanie się w robocie może być w niedalekiej przyszłości zjawiskiem dość powszechnym. Filozof uważa, że tendencja do związywania się z robotami, albo nawet zakochiwania się w nich lub zawierania z nimi małżeństw może ulec wzmocnieniu wraz z wejściem na rynek robotów seksualnych. Przypomina, że już dziś w USA czy w Japonii produkowane są lalki, które mają wbudowane pewne ograniczone funkcje sztucznej inteligencji.

Wedle licznych ankiet, znaczny odsetek respondentów odnosi się entuzjastycznie do możliwości posiadania takiego seks-roboty. Tego typu roboty obecnie budzą najwięcej entuzjazmu na Dalekim Wschodzie, m.in. w Japonii. Zdaniem dr. Musiała wynika to z różnic kulturowych, zarówno zakorzenionych od pokoleń, jak i relatywnie współczesnych. – W tradycyjnej re-



ligii Japonii – szintoizmie, właściwie wszystko jest w pewnym sensie ożywione. Łatwiej zatem przyznać taki status również robotom. Na Zachodzie tego typu animistyczne podejście bardzo dawno temu zostało w znacznej mierze wyparte m.in. przez chrześcijaństwo – twierdzi filozof.

Z obserwacji naukowca wynika również, że maszyny i roboty zupełnie inaczej przedstawiane są w popkulturze: na Zachodzie w postaci wrogów czy zagrożeń, podczas gdy w Japonii popkultura obfituje w narracje, w których maszyny występują jako współpracownicy czy wręcz przyjaciele.

Kolejny sygnalizowany przez badacza problem dotyczy poczucia realności. – Granica między wirtualnym a realnym, między symulacją a tym, co symulowane ulega zatarciu. W ten sposób związki w rzeczywistościach wirtualnych są nierzadko postrzegane jako równie realne i bardziej satysfakcjonujące niż tradycyjne relacje. Natomiast stosunki z robotami, które nie posiadają uczuć ani świadomości, ale wiarygodnie je symulują, postrzegane są jako nieróżniące się w znaczący sposób od relacji z ludźmi – dodaje.

Jednym z najnowszych przejawów tendencji do „uczlówieczania” robotów są głosy o potrzebie przyznania robotom praw

Dr Musiał dowodzi, że jednym z najnowszych przejawów tendencji do „uczlówieczania” robotów są coraz liczniejsze głosy o potrzebie przyznania robotom praw. Zwolennicy tego stanowiska przypominają, że w starożytności absurdem wydawało się nadanie praw niewolnikom, później kobietom, a jeszcze niedawno czymś niepojętym była idea praw zwierząt – podobnie myślimy dziś o prawach robotów. Niemniej jednak – twierdzą entuzjaści praw robotów – w ostatecznym rozrachunku ich wprowadzenie będzie świadectwem rosnącej wrażliwości człowieka na otaczający go świat.

Dr Musiał przekonuje, że skoro już dziś ludzie nierzadko odczuwają emocje wobec autonomicznych odkurzaczy lub elektronicznych pieszków, to być może świat, w którym roboty będą miały prawa, a ludzie będą brać z nimi śluby, nie jest wcale tak odległy, jak mogłoby się wydawać. Warto zatem zastanowić się, czy jest to świat, którego chcemy – uważa dr Musiał.

Szymon Zdziebłowski NwP



GNIEŹNIEŃSKIE „ECO FUTURE”

Czy przyszłość może być zielona? Odpowiedzi na to pytanie szukali studenci komunikacji europejskiej Instytutu Kultury Europejskiej UAM w Gnieźnie podczas festiwalu „Eco Future”.

Projekt powstał w ramach zajęć z organizacji i zarządzania wydarzeniami, prowadzonych przez dr Sylwię Szykowną. Obejmował zarówno część przygotowania koncepcji i celów wydarzenia, jak jego realizację i promocję. Ciekawym wyborem okazało się przeprowadzenie sesji fotograficznej w domu studenckim gnieźnieńskiego kampusu.

Zdjęcia zostały wykonane z użyciem materiałów, które wyrzucamy: butelek, puszek po napojach, opakowań po lekach, folii spożywczej etc. Są to monochromatyczne portrety, będące w dużej mierze odwzorowaniem prac Dymitra Pozynakova,

fotografa ukraińskiego. Koncepcja artystyczna opierała się na minimalizmie, emocjach i zaburzeniu estetyki. Zdjęcia wykonał Stanislav Diachuk, student wspomnianego kierunku.

Sesja z udziałem studentów pozwoliła im na pełne uczestnictwo w tworzeniu koncepcji wystawy i nadawaniu indywidualnego charakteru każdej fotografii. Zdjęcia zostały wyeksponowane w budynku Instytutu. Podczas festiwalu przeprowadzono także warsztaty z tworzenia kolaży z nakrętek zbieranych na uczelni, rozmowę na temat zero waste i projekcję filmu „Home. SOS Ziemia”.

Antonina Kozaczko, IKE UAM





OD PODZIEMNEGO REDAKTORA DO SENATORA

O studiach w okresie transformacji ustrojowej, odbiciu gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR z rąk komunistów i rekordowym poparciu w wyborach z Marcinem Bosackim, senatorem Koalicji Obywatelskiej, rozmawia Filip Czeaka.

Gratuluje imponującego i rekordowego wyniku w wyborach. Ponad 72 procent poparcia musi robić wrażenie. Był pan zaskoczony aż tak wysokim poparciem?

Uważam, że nawet 73 procent. Jestem absolutnie przekonany, że w trzech komisjach źle wpisano wynik – mój konkurentowi, a jego – mnie. To niemożliwe, że we wszystkich 252 komisjach dostałem po 70 – 80 procent głosów, a w tych trzech odwrotnie. Niestety, przepisy mamy takie, że nie ma kto tego sprawdzić. Państwowa Komisja Wyborcza twierdzi, że należy ten protest złożyć do Sądu Najwyższego, a ten zajmuje się tylko protestami, które mogą zmienić wynik wyborów. A ja przecież nie chcę zmienić wyniku wyborów – skoro wygrałem, nie mogę przegrać. To poważna luka w przepisach.

Zarówno pan, jak i Przemysław Alexandrowicz, pana konkurent w wyborach, kończyliście historię na UAM. To miało w kampanii wyborczej jakiegokolwiek znaczenie?

Faktycznie, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych obracaliśmy się w podobnych kręgach. Byliśmy w opozycji antykomunistycznej, chociaż on raczej już w Duszpasterstwie Akademickim u dominikanów, a ja w dość twardej opozycji. Od tamtego czasu nasze ścieżki – gdzieś tam połączone historią i tradycją lat 80. – mocno się rozdzieliły. Ja uważam, że liberalna demokracja oznacza pozostawienie ludziom wolnego wyboru, a władza powinna jak najmocniej umożliwić im tego wyboru dokonanie.

Studiował pan w okresie transformacji ustrojowej. Jak pan wspomina ten okres?

Zaczynałem studia jesienią 1989 roku, ale już w 1988 roku i wiosną 1989 roku, będąc jeszcze w szkole średniej, byłem na strajkach studenckich, bo miałem wielu kolegów w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Wywodziliśmy się z istniejącej

i działającej w Poznaniu w latach 1982–1989 organizacji młodzieżowej Szkolne Koła Oporu Społecznego. Pamiętam ślubowanie w auli Collegium Novum. W trakcie kampanii wyborczej ktoś przypomniał nawet, że byłem jedynym studentem, który nie przysięgał „na wierność sojuszy”, „jedność komunizmu” czy „państwu socjalistycznemu”, co przecież 1 października 1989 roku było absurdem. Niedługo po tym, bo trzy miesiące później, w około pięćdziesiąt osób z NZS-u pod kierownictwem Filipa Kaczmarka, 48-godzinną okupacją budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR zakończyliśmy historię tej partii w Poznaniu. Jej lider, I sekretarz KW, podpisał porozumienie, które poskutkowało przekazaniem budynku UAM.

Z tych słynnych 48 godzin zapamiętał pan jakiś szczególnie obrazek?

Pamiętam kilka scen. Woźnego, który próbował przed nami zamknąć drzwi, ale to mu się nie udało, bo inni weszli bocznym wejściem. To, że nie chcieli nas wpuścić do archiwum, co jest symptomatyczne. Pamiętam też noc spędzoną na podłodze auli, która potem była moją salą wykładową. Do dzisiaj w swoim gabinecie mam fotografię, na której jestem w gronie sześciu osób z różnych kręgów, między innymi z Maciejem Frankiewiczem, późniejszym wiceprezydentem Poznania. Stoimy na dachu KW PZPR, a za nami powiewa flaga biało-czerwona, którą tam zawiesiliśmy w miejsce czerwonej, komunistycznej, powiewającej jeszcze parę godzin wcześniej. Bardziej jednak pamiętam sytuacje z wcześniejszych lat, gdzieś od 1985 roku. Z demonstracji, roznoszenia ulotek w mieście, pisania haseł na murach. Wtedy, do wiosny 1989 roku za takie akcje można było być „spalowanym” czy trafić na Kochanowskiego na przesłuchanie, co też było moim doświadczeniem. W styczniu 1990 roku, co naturalne, nic strasznego nas nie spotkało.

Czy transformacja ustrojowa mocno była widoczna w 1989 roku na samym UAM? Miała wpływ na program nauczania? W końcu narracja historyczna zmieniała się zapewne o 180 stopni...

Miałem taką historię, że zdawałem ustny egzamin na studia pod koniec sierpnia albo na początku września, bo po egzaminie pisemnym w lipcu zapadłem na ospę wietrzną i nie mogłem przyjść w zwykłym terminie. Siedziałem wtedy na korytarzu Collegium Novum i nagle zauważyłem, że idzie Janusz Pałubicki, w latach 1982–1989 szef podziemnej „Solidarności” w Poznaniu, człowiek, którego wyrzucono z UAM. Po czerwcowych wyborach już go przywrócono do pracy. To był dla mnie taki symbol zmian, które nastąpiły na uniwersytecie.

Mimo to pamiętam, że w pierwszych latach wśród nas, studentów, krążyły opowieści o niektórych profesorach, że są „czerni” i nadal trzeba cytować u nich klasyków marksizmu na egzaminach. Tak było u pewnej profesor od starożytności czy potem u bardzo znanego profesora historii od metodologii. Raczej wszyscy się do tych zaleceń stosowali.

Wtedy nie było tak prosto, by wszyscy uważali, że nowa, demokratyczna, niepodległa Polska jest „tą wspaniałą”, a to, co było przed 1989 rokiem jest godne potępienia. Na historii było cały czas sporo osób, zwłaszcza wśród starszego pokolenia, które nadal okazywały swoje inklinacje marksistowskie czy komunistyczne.

Gdy myśli pan o czasie studiów, jakie jeszcze wspomnienia przychodzą panu do głowy?

Zapamiętałem choćby zajęcia z metodologii ze świętej pamięci już doktorem Gwidonem Zalejko. Od trzeciego semestru byłem na indywidualnym toku studiów, bo już pracowałem w Gazecie Wyborczej i przychodziłem na niewiele zajęć. Szybko zostałem tam sekretarzem redakcji i siedziałem po 10–12 godzin w redakcji. U doktora Zalejko zaliczenie polegało na napisaniu eseju. W natłoku pracy nie miałem czasu i napisałem ten esej bez specjalnego zaangażowania. Przyzwoity, ale nie wybitny. Usłyszałem wtedy od niego, że każdemu innemu postawiłby za niego 3+ czy 4–. Ale mnie stać na więcej. No i siadłem po nocach i napisałem esej dwa razy dłuższy, powołując się nie na trzy książki, a na siedem czy osiem. Wpisał mi za niego „bardzo dobry”.

Z kolei sama praca magisterska u profesora Edmunda Makowskiego była dla mnie dosyć ważna, bo z jej rozszerzonej wersji napisałem książkę. Pisałem o podziemiu w Cegielskim w latach 1981–1989. Część tych bohaterów znałem, więc książka i praca oparte były na wywiadach. Miałem już dostęp do archiwów PZPR, które były bardzo ciekawe, bo zawierały niemal codzienne raporty z komisji zakładowej PZPR w Cegielskim. Nie miałem natomiast dostępu do materiałów SB. To była jedna z pionierskich prac o podziemiu w skali mikro i była dzięki temu dość często cytowana.

Jak student historii znalazł się w gazecie? Praca w roli dziennikarza to inspiracja pana ojcem, Zenonem?

Nie, zupełnie nie. Od 1986 do 1989 roku byłem redaktorem naczelnym „Głosu SKOS-ów”. Gdy zacząłem je redagować jako 16-latek, to pokazałem ojcu jeden czy dwa artykuły. On wtedy redagował pismo podziemne „Solidarność Poznań”. Przeczytał to, co napisałem i wprowadził jedynie ze dwie małe poprawki. Byłem wtedy dumny, że to nadaje się do druku. Tak to się zaczęło i na tym też skończyła się jego rola. Potem byłem krótko redaktorem naczelnym pisma NZS UAM „Podaj dalej”. W grudniu 1989 roku powstał pierwszy niezależny dziennik „Dzisiaj”, z którym współpracowałem, a we wrześniu 1990 roku, gdy tworzył się lokalny oddział Gazety Wyborczej, ściągnęła mnie do niej Nina Nowakowska, późniejsza wieloletnia dziennikarka Radia Merkury. Na początku 1992 roku zostałem sekretarzem redakcji Wyborczej, a po kolejnych dwóch latach przenieśliśmy się do Warszawy jako szef działu zagranicznego. Tak naprawdę moja droga do działalności politycznej w Senacie, a wcześniej do ambasadorowania w Kanadzie, wiedzie od redagowania podziemnego pisemka w latach osiemdziesiątych. Mam dużą satysfakcję, że z tych osób, które poznałem wtedy w SKOS-ach czy NZS-ie, znaczącą większość spotykałem teraz na demonstracjach KOD-u i Łańcuchach Światła. To takie potwierdzenie, że wtedy i teraz dokonywaliśmy wspólnie dobrych wyborów, choć teraz mamy koło pięćdziesiątki, a wtedy mieliśmy po 16–17 lat.

Około pięćdziesiątki – jako szeroka koalicja – macie też teraz senatorów. Jest pan jednym z pięciu absolwentów UAM w Senacie. Wszyscy działacie razem – czworo jest w Koalicji Obywatelskiej, a Jan Filip Libicki reprezentuje PSL. Zamierzacie podejmować wspólnie jakieś działania na rzecz naszej uczelni?

Byłem już na spotkaniu z prorektorami. To była bardzo ciekawa dyskusja zarówno o szansach, jakie daje reforma wprowadzona w zeszłym roku, jak i jej mankamentach, czyli przede wszystkim niewystarczającym finansowaniu w porównaniu z zadaniami, jakie stawia. Z całą pewnością w sprawach budżetowych UAM i cały region może liczyć na naszą aktywność, na nasze poprawki, które będą zwiększały finansowanie do budżetu. Na tym spotkaniu zostałem też mocno przekonany do idei federacji uniwersytetów i stworzenia Uniwersytetu Poznańskiego. Zdaję sobie jednak sprawę, że są różne zdania na ten temat i droga do tego jest daleka.

Ale na tym moje związki z uczelnią się nie kończą. Politycznie czy towarzysko utrzymuję kontakty z pracownikami naukowymi uniwersytetu: w kampanii wyborczej wiele razy rozmawiałem z profesorem Krzysztofem Podemskim, profesorem Romanem Kubickim, moim znajomym z lat 90., którego felietony wówczas publikowałem w Gazecie Wyborczej, czy profesorem Waldemarem Łazugą, obecnym felietonistą Wyborczej. Na studiach miałem z nim wykłady o XIX wieku, polskim ruchu niepodległościowym i narodowym, czy krakowskich Stańczykach – to były ucztę intelektualne.

Więcej na stronie www.uniwersyteckie.pl



ODWAŻNA I ROMANTYCZNA

Wisława Szymborska powiedziała kiedyś, że Stanisław Barańczak i Małgorzata Musierowicz, piszące rodzeństwo, to „zrzutki” z kosmosu i tylko w ten sposób można tłumaczyć ich uzdolnienia. Ciekawe, jak rozwinęłaby tę myśl, gdyby poznała Emilię Kiereś, z którą rozmawia Aleksandra Polewska-Wianecka.

Planowała pani zostać historykiem sztuki. Jednak po maturze w poznańskim liceum św. Marii Magdaleny, została pani studentką całkiem innego wydziału. Dlaczego?

To była spontaniczna decyzja, dla mnie samej nie do końca jasna. Serce mi powiedziało: idź na polonistykę! Usłuchałam go. I nie żałuję. Gdybym dzisiaj miała wybierać studia, wybrałabym tak samo.

Czy myślała pani o tym, że studia polonistyczne przygotowują panią do zawodu pisarki?

Zupełnie nie. Rozpoczynając studia nie zastanawiałam się, co będę robiła po ich ukończeniu. Na razie chciałam obcować ze wspaniałą literaturą, poznawać ją od podszewki, spędzać czas z ludźmi, którzy lubią ją tak samo jak ja. Wiedziałam tylko tyle, że chcę w przyszłości pracować blisko książek.

Czas pokazał, że trafiła pani do wydawnictwa. Nie od razu jednak była to współpraca autor – wydawca.

Najpierw zajmowałam się pracami redakcyjnymi – robiłam korekty, redagowałam teksty innych autorów. To była przyjemna praca, mająca w sobie coś z łamigłówki. Podobnie zresztą jak tłumaczenie literatury.

Bo, jeszcze nim zaczęła pani pisać, została pani tłumaczką.

Tak widocznie miało być. Jeszcze w szkole podstawowej ogromnie lubiłam tłumaczyć z angielskiego różne teksty dla siebie albo dla bliskich, na przykład jako prezenty na Gwiazdkę. A im lepiej znałam ten obcy język, tym bardziej wielowarstwowa to była zabawa. Prawdziwa łamigłówka. Kiedy więc wydawca, z którym współpracowałam, zaproponował mi przekład na próbę, zgodziłam się od razu.

I do dziś przetłumaczyła pani...

Blisko czterdzieści książek dla dzieci i młodzieży.

Czy do tłumaczenia w jakikolwiek sposób inspirował panią wujek, wybitny tłumacz Szekspira i również absolwent poznańskiej polonistyki, Stanisław Barańczak – brat pani matki, Małgorzata Musierowicz?

Trudno tu mówić o bezpośredniej inspiracji – wujek był tłumaczem, jaki się trafia może raz na milion, a tłumaczone przez niego teksty są nieporównanie trudniejsze od tych, które ja biorę na warsztat. Na pewno jednak był dla mnie wzorem, jak wykonywać tę pracę w najlepszy możliwy sposób.

W innej sytuacji zapytałabym, czy nie obawiała się pani, rozpoczynając przygodę z przekładami z angielskiego, czy też pisanie książek, porównań do matki i wujka. Ale nie zapytałam, bo cała pani postawa odpowiada: nie obawiałam się.

To prawda. Nigdy nie bałam się porównań. Autor, który decyduje się na wydanie książki, musi mieć świadomość, że z chwilą,

kiedy wypuszcza swój tekst w świat, staje się on częścią wielkiego zbioru, do którego należą wszystkie inne książki wszystkich innych autorów. I każdy, kto je czyta, może dokonywać dowolnych porównań. To, czy czytelnik porówna moją książkę z książką mamy czy, dajmy na to, Terry'ego Pratchetta, jest wyłącznie sprawą tego czytelnika. Dla mnie jest ważne tylko, żeby pisać w zgodzie ze sobą, niczego nie udawać, niczego nie udowadniać. To, co piszę, jest takie, jak ja. W stu procentach. I już.

„Srebrny dzwoneczek”, pani debiut, został wpisany na listę Białych Kruków Internationale Jugendbibliothek w Monachium w 2011 roku...

Tak, to była moja pierwsza nagroda, i to od razu za pierwszą książkę! Wielkie wyróżnienie i potężna motywacja. Otrzymywanie nagród jest zawsze miłe, przy czym największą wartość mają dla mnie te przyznane przez dziecięcych czytelników.

Do tej pory napisała pani dziesięć książek – a cztery z nich sama pani zilustrowała.

Chciałam się przekonać, jak to jest: zilustrować własny tekst. Nie kształciłam się nigdy w tym kierunku i wszystko, co potrafię, przyswoiłam mimochodem w domu, w którym mogłam przyglądać się codziennej pracy rodziców-plastyków, bo takie właśnie oboje odebrali wykształcenie w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Spróbowałam – i najwyraźniej się udało. Rodzice i wydawca zaaprobowali moje ilustracje. Czytelnikom też się spodobały. Więc chyba było warto!

Ukazały się również „Ballady i romanse” Mickiewicza z pani komentarzami. To już nie literatura, ale małe wprowadzenie do poezji dla czytelników w wieku szkolnym.

Polska literatura okresu romantyzmu jest mi bardzo bliska, a twórczość Mickiewicza zwłaszcza. Moja praca magisterska nosiła zresztą tytuł „Kołnierzyk Mickiewicza”. Dotyczyła poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, w której tropiłam nawiązania do dzieł wieszczów. Z kolei komentarze do „Ballad i romansów”, w formie swobodnej gawędy, napisałam po to, żeby przybliżyć dzisiejszym dzieciom i młodzieży cudowny świat tych tekstów, żeby pomóc im zrozumieć zarówno ballady, jak i czasy, w których one powstały. Chciałam też sprawić, żeby młodzi czytelnicy polubili samego Mickiewicza, choć trochę.

Wychowywała się pani w domu pisarki. Jak go pani wspomina?

Dom pisarki był domem moim i całej naszej rodziny: wesółym, kolorowym i pełnym książek. Dzieciństwo w nim wspominam wspaniale. No i rodzice byli prawie zawsze na miejscu, bo oboje pracowali w domu właśnie. To było najlepsze.

Pani córka ma podobny dom, prawda?

Mam nadzieję. Rodziców w każdym razie też ma zazwyczaj pod ręką!

Z POZNANIA DO TOKIO

Z Karoliną Nadolską ze Studium Wychowania Fizycznego i Sportu UAM, rekordzistką Polski w biegu na 10 km, zakwalifikowaną na olimpiadę w Tokio, rozmawia Jagoda Haloszka



FOT. ADRIAN WYKROTA

Na początku chciałabym pogratulować pani wyniku w Walencji. To już pani drugi rekord Polski na 10 km.

Zgadza się. To mój drugi rekord Polski na tym dystansie. Przed Walencją także należał do mnie, tylko różnił się o jedną sekundę. W naszym teamie śmiejemy się, że wyliczony był z precyzją szwajcarskiego zegarka. Wcześniej wynosił 32:09, teraz 32:08. Od 2013 r., czyli w momencie ustanowienia tego pierwszego rekordu, kręciłam się wokół niego. Ostatnio ktoś nawet wyliczył, że moja średnia z 10 km to 32:27. Udowodniłam sobie, że mimo upływu lat cały czas potrafię szybko biegać.

Choć biegać możemy wszędzie, to z pewnością do rozwoju dyscypliny przydają nam się nowe obiekty sportowe. W styczniu otworzyliśmy na uniwersytecie stadion z pełnowymiarowym boiskiem i bieżnią. Odkryjemy więcej talentów?

Teren, na którym znajduje się nasze Studium Wychowania Fizycznego i Sportu, jest rewelacyjny. Zawsze podkreślam, że bieganie jest fajne i proste, ponieważ możemy wyjść i zacząć swój trening. Oczywiście, trzeba najpierw się do tego specjalnie przygotować, najlepiej pod okiem profesjonalisty. Nie potrzebujemy jednak do biegania ani siłowni, ani basenu, za który musimy zapłacić. Natomiast takie obiekty na pewno są potrzebne, jeśli chcemy coś więcej niż tylko np. zrzucić wagę bądź traktować bieganie jako formę odświeżenia się, czy dbania o zdrowie. Bardzo się cieszę, że stadion powstał na naszym uniwersytecie, ponieważ będziemy mogli rozwijać sekcję lekkoatletyczną. Mam nadzieję, że to właśnie tutaj będzie wylęgarnia talentów. Chcę zaprosić lokalną społeczność, zaangażować ją w bieganie i pokazać nie tylko dzieciom i młodzieży, ale także dorosłym, że warto się ruszać.

Jak to było z pani kwalifikacją olimpijską?

Jako maratończycy już rok wcześniej mogliśmy uzyskiwać wyniki, które dają nam przepustkę na igrzyska olimpijskie do Tokio. W kwietniu ubiegłego roku w Hanowerze uzyskałam wynik 2:27:43, który był lepszy o prawie dwie minuty niż wymóg Światowej Federacji Lekkoatletycznej. Bardzo się cieszę, że mam kwalifikację i mogę ze spokojem przygotowywać się do igrzysk.

Zdobycie tej kwalifikacji nie było jednak wcale tak łatwe. Czy odniosła pani wrażenie, że przestano już panią wierzyć?

Cztery lata temu, po urodzeniu mojej córki, przechodziłam trudny okres w mojej karierze. Był to rok przedolimpijski i wydawało się, że powinnam sobie poradzić z minimum do igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro. Jako rodzina zrobiliśmy wszystko, aby tak było. Podporządkowaliśmy całe życie naszej córki. Jednak się nie udało. Nie miałam regeneracji, która była mi niezbędna. To był moment, w którym prawdopodobnie środowisko biegaczy pomyślało, że „Karolina się skończyła i się nie pozbiera”.

Cały czas wspiera panią rodzina?

Moim trenerem jest prywatnie mój mąż – Zdzisław Nadolski. Przyszedł mi wtedy z pomocą, bowiem sama zaczęłam wątpić w swoje siły. Można powiedzieć, że żyjemy w „czterolecia” i igrzyska są naszym celem. Dzięki determinacji męża, który wziął na swoje barki opiekę nad córką i bardzo mnie odciąża, sportowo jestem teraz tam, gdzie jestem. Często mówi się tylko o sportowcach – „Karolina ma minimum, Karolina jedzie na igrzyska”, ale musimy pamiętać o trenerach. To oni wykonują bardzo solidną pracę, której często nie widać.

Czy dzisiejsza Karolina, która ma kwalifikację olimpijską, pamięta jeszcze 17-letnią Karolinę, która w trampkach zdobywała swoje pierwsze życiówki?

Zaczęłam dość późno uprawiać sport. Faktycznie, miałam wtedy 17 lat. Jestem w sporcie zawodowym 13 lat i mogę śmiało powiedzieć, że jest to bardzo wysoki, europejski poziom. Oczywiście, zdarzały się urazy i kontuzje, ale to jest wpisane w ryzyko naszej branży. Pamiętam pierwsze zawody w szkole średniej. Rzeczywiście startowałam wtedy w zwykłych trampkach i w szerokich dresach. Sport zahartował mnie i nauczył radzić sobie w życiu, stawiać cele i nie zrażać się porażkami.

Co Karolina Nadolska robi w wolnym czasie?

Tego czasu jest naprawdę bardzo mało. Zawsze powtarzam, że wyczynowym sportowcem jest się 24 godziny na dobę. Oprócz tego, że wychodzimy na trening, najważniejsza jest regeneracja. Mam czteroletnie dziecko i to jest też taka moja odskocznia. Dziś formą odreagowania ciężkiego treningu czy stresu jest dla mnie zabawa z córeczką.



Stadion lekkoatletyczny, siłownia zewnętrzna, tor dla rolkarzy – tak prezentują się nowe obiekty sportowe, które powstały na kampusie Morasko dzięki wieloletniemu programowi inwestycyjnemu „Uniwersytet Im. Adama Mickiewicza 2004-2019”. Budowa trwała niemal rok i kosztowała 16 milionów złotych.